BIBLIOTEKA Filia w Łomży

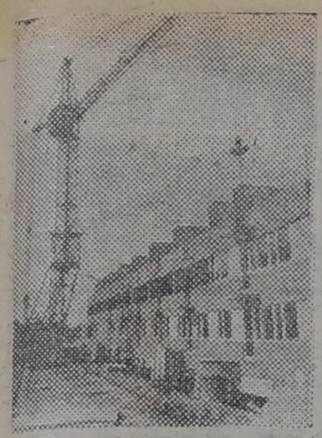

tzw. przerób 4

a jak chodził Kurp na wojnę 5

zdrowotny dziadek w Łomży 6

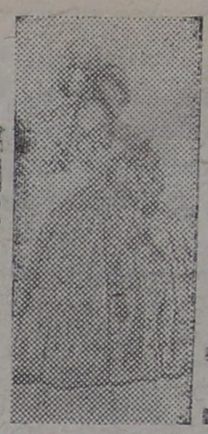

jak zostać człowiekiem przystojnym 11

ogień nie zabierze 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

30 (106)

KONTAKTY
24 X 1982
Cena 12 zł

POLSKIE DUSZKI ANDRZEJA PODULKI

WYWĄCHIWACZ LENIUCHOWATY — leniwy skrzat z rodziny Krasnali Pomidorowych, o typowo konsumpcyjnym podejściu do życia. Bezkartkowiec. Pożywienie zdobywa w bardzo wymyślny sposób. Najpierw przy pomocy okazałego nosa wywąchuje przyjemne kuchenne zapachy dobiegające z mieszkań swoich znajomych, aby następnie złożyć nieproszoną wizytę i niepostrzeżenie dobrać się do garnków z jedzeniem, zanim zrobią to domownicy. W wielu dobrze sytuowanych familiach mile widziany, a nawet hodowany i brany za zwyczajnego krasnoludka na wcześniejszej emeryturze albo za leniwego karzełka o mikrej posturze.

raport o stanie środowiska dojrzewanie dżiny

HENRYK MILEWSKI

Starzy łomżyniacy z rozrzewnieniem, często z łezką w oku, wspominają czasy, kiedy Łomża była czysta i zadbana. Że dziś taka nie jest, to — oczywiście — wina władz wojewódzkich. Nawet sam prezydent miasta, Jerzy Newelski, nie omieszka podkreślić przy każdej okazji, że przywróciłby miastu dawny blask, gdyby obdarzono go większą samodzielnością. — Przecież nie mogę karać za nieporządki dyrektorów wojewódzkich jednostek! — użala się z przekonaniem. I pomyśleć tylko, że tych kilku — no, może kilkunastu — dyrektorów niełomżyniaków to takie śmieciuchy. Za siedem lat istnienia województwa zdołali zapaskudzić prawie pięćdziesięciotysięczne miasto!

Nie zamierzam polemizować z tymi opiniami, bo rzeczywiście Łomża do grodów czystych i zadbanych nie należy. A jak było dawniej? Dla ilustracji przytoczę znany fakt, który jednak na anegdotę bardziej wygląda.

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

rodzinna historia Polski

ALICJA ZAGÓRSKA

disco na klepisku

W następnym numerze: dokąd czwórkami szli żołnierze z Westerplatte ● refleksje nad żywotem grabarza ● fotoreportaż z kuźni ● 40-lecie likwidacji getta żydowskiego w Łomży ● utrapienia kierowców „bagażówek" ● o człowieku z piwnicznej izby ● „Jak zostać człowiekiem przystojnym" ● ostatni pamiętnik nastolatki ● kolniana.

zdarzenia

WOJEWÓDZKA KOMISJA INICJATYWNA przekształciła się w Tymczasową Radę Wojewódzką PRON. Jej członkowie wystosowali apel do społeczeństwa województwa łomżyńskiego, w którym nawołują do przyłączenia się do Ruchu.

18 PAŹDZIERNIKA, na zaproszenie KC Komunistycznej Partii Litwy, wyjechała do Wilna partyjna delegacją województwa w składzie: Włodzimierz Michaluk, I sekretarz KW PZPR, Witold Malinowski, członek KC PZPR, rolnik, Stanisław Ołdakowski, członek egzekutywy KW, mistrz z Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, Jan Kowalski, członek egzekutywy KW, dyrektor Zakładu Płyt Wiórowych w Grajewie.

UROCZYSTE OBCHODY Dnia Wojska Polskiego, zainaugurowało spotkanie władz politycznych i administracyjnych z kierownictwem Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, WKU. Zakończyło się ono złożeniem kwiatów na płycie pamięci KBW. 12 października odbyły się liczne akademie i spotkania. Odznaczeniami państwowymi, resortowymi i regionalnymi udekorowano wielu oficerów, podoficerów, żołnierzy rezerwy i pracowników cywilnych. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: ppłk Anatol Jastrzębski i ppłk Ireneusz Chojnacki, Złoty Krzyż Zasługi — mjr Włodzimierz Wacławski, Medal Komisji Edukacji Narodowej — ppłk Zygmunt Jurgielewicz. Złotym medalem „Za zasługi dla obronności kraju" płk Józef Piotrowski, szef Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, odznaczył Włodzimierza Michaluka, a srebrnymi — wicewojewodów Eugeniusza Mioduszewskiego, Zdzisława Truszkowskiego i Stanisława Ciupę.

DOTYCHCZAS JEDYNIE CUKROWNIA w Łapach należycie dbała o swoich plantatorów: finansowała ochronę upraw oraz dodatkowe przydziały cukru. Natomiast zakład w Sokołowie Podlaskim nie przestrzegał tych zobowiązań. Dopiero wdrażanie reformy i możliwość utraty plantatorów na korzyść zakładu w Łapach, spowodowały większe zainteresowanie sokołowskiej cukrowni łomżyńskimi plantatorami. Sprawę tę analizowało na swoim ostatnim posiedzeniu kierownictwo WK ZSL. Ponadto poruszono problem zagospodarowania nadwyżek melasy w gorzelniach (co pozwoliłoby zaoszczędzić znaczne ilości zboża), oraz zreformowania służb doradztwa i współpracy z fachowcami Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Szepietowie.

ZRZESZENIE LZS PRZEŻYWA trudne chwile: wielu dotychczasowych mecenasów wiejskiego sportu zaczęło mocno liczyć się z każdym groszem. Tymczasem drastycznie brakuje w wiejskich ośrodkach sprzętu sportowego, a instrukorzy są tam najmniej opłacani. Rada Wojewódzkiego Zrzeszenia LZS liczy szczególnie mocno na pomoc szkół rolniczych w rozwoju ludowego ruchu sportowego.

W PLACÓWKACH oświatowo-wychowawczych 14 października święcono Dzień Edukacji Narodowej. Był to dzień zupełnie wolny od zajęć lekcyjnych. Na spotkaniach i akademiach, pedagodzy przyjmowali życzenia od młodzieży i ich rodziców oraz od władz. Wielu nauczycieli województwa otrzymało medale, odznaczenia, nagrody ministra Oświaty i Wychowania oraz kuratora. Wojewoda łomżyński przyjął 50-osobową delegację szczególnie wyróżniających się nauczycieli i wychowawców. Składając na ich ręce podziękowania dla wszystkich pracowników oświaty, podkreślił również „kapitalną rolę nowoczesnego nauczania w przezwyciężaniu kryzysu społeczno-gospodarczego".

16 PAŹDZIERNIKA NAUCZYCIELE debiutujący w zawodzie, dzielili się swymi spostrzeżeniami i bolączkami na spotkaniu zorganizowanym przez Wydział Propagandy i Agitacji KW PZPR.

SZKOLNE PODSTAWOWE ORGANIZACJE partyjne otrzymały nowy biuletyn — „Konspekt", adresowany głównie do członków partii pracujących w oświacie. Ma on pomagać im w rozwijaniu działalności politycznej wśród nauczycieli.

NOWY SYSTEM ZARZĄDZANIA gospodarką, podniesienie rangi rachunku ekonomicznego zmusza zakłady produkcyjne do poszukiwania bardziej efektywnych metod organizacji pracy. Wychodząc naprzeciw tym tendencjom — łomżyński Oddział Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa, przejął na siebie funkcję pośrednika między miejscowymi zakładami pracy a krajowymi ośrodkami badawczo-wdrożeniowymi, które mogą być pomocne w rozwiązywaniu szczegółowych problemów organizatorskich. Pracować nad nimi będą specjalne zespoły złożone z ludzi nauki i praktyków zatrudnionych w jednostkach gospodarczych i placówkach naukowo-badawczych. Przykładowe tematy, które mogą znaleźć się w zleceniach przyjmowanych przez Oddział TNOiK-u: organizacja stanowisk roboczych, analiza efektywności parku maszynowego i procesów technologicznych dla grup wyrobów — pod względem materiałochłonności, pracochłonności itp., badanie współpracy kooperacyjnej w aspekcie efektywności gospodarowania, projektowanie struktur organizacyjnych oraz systemów informatycznych, obejmujących poszczególne funkcje zarządzania.

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE ma, jak mało które, ogrom problemów. Załoga mogłaby oddać do użytku wszystkie przewidziane w planie obiekty, lecz prace opóźnia brak materiałów wykończeniowych. Od dłuższego czasu nie ma dostaw farb emulsyjnych, są ciągłe kłopoty z materiałami posadzkarskimi. Niedostateczne jest również zaopatrzenie w niektóre materiały podstawowe: zamiast potrzebnych — na miesiąc — dwustu tysięcy elektrod do spawania, otrzymuje 60 tysięcy; na kwartał ŁPB powinno zużywać 800—900 ton stali zbrojeniowej, a kwartalny przydział dla trzech firm (ŁPB, PBR i PBK) wynosi 360 ton... Coraz dotkliwiej daje się odczuć brak odzieży i obuwia ochronnego. Pracownicy otrzymują tylko jedną parę obuwia — gumowe lub trzewiki. Mimo trudności, do końca października ŁPB przekaże jeszcze do użytku w Łomży: węzeł cieplny w Szkole Podstawowej nr 1, budynek nr 18 i patronacki (nr 62), oraz dwa budynki w Zambrowie.

„TRANSBUD" Z TRUDEM wykonuje plan, przede wszystkim z powodu braku części zamiennych. Pomoc dyrekcji w Białymstoku jest na razie symboliczna, co jakiś czas przysyła ona po kilka sztuk opon. Kierowcom i warsztatowcom z tworzącej się grupy inicjatywnej związku zawodowego, mocno leży na sercu wywalczenie w dyrekcji nowych, bardziej autentycznych zasad podziału wypracowanego zysku. W tej chwili, choć łomżyńska filia pracuje oszczędniej niż pozostałe placówki, nie ma z tego żadnych dodatkowych korzyści.

DYREKTOR PRZEDSIĘBIORSTWA Przemysłu Spożywczego natychmiast zareagował na anonimowe żądanie pracowników browaru, ukrócenia praktyki nielegalnego picia i wynoszenia piwa. Wydane zarządzenie zobowiązuje kierownika browaru do niedopuszczenia wydawania i konsumpcji piwa w oddziale, a kierownika działu zbytu — w magazynach. Służba dozoru ma ściślej kontrolować pracowników bez względu na stanowisko. Na razie w browarze ubyło niepożądanych gości. Co się jednak dzieje w nocy, gdy odpowiedzialni kierownicy śpią?

MIJA GORĄCY OKRES w „Herbapolu" — skończył się skup jarzębiny (58 ton wysuszonego owocu czeka na czyszczenie); trwa jeszcze skup bzu i ziół, głównie rdestu, skrzypu, piołunu, liści porzeczki i maliny, korzenia żywokostu. Łomżyński zakład jest mikroskopijny: zaledwie 4 pracowników — kierownik, instruktor i dwóch pracowników fizycznych. W sezonie zatrudnia się cztery dodatkowe osoby, lecz i tak dzień pracy wynosi 12—15 godzin.

WYJĄTKOWO TRUDNY okazał się również skup surowca w Mazurskiej Wytwórni Tytoniu. Zakład zatrudnia na stałe 22 pracowników obsługujących teren, 2 w biurze i 2 dozorców, a na czas skupu — pracowników sezonowych. W tym roku byli to wyjątkowo niesolidni ludzie, często pracowali tylko dzień—dwa, a zdarzało się, że nie zjawiali się w ogóle i zastępować ich musieli ci zza biurka.

WOJEWÓDZKI ZAKŁAD WETERYNARII gościł 35 kolegów z Siedleckiego. Zwiedzili oni lecznice w Ciechanowcu, Zambrowie i Łomży oraz wymienili doświadczenia z realizacji nowych zasad gospodarowania w lecznictwie weterynaryjnym. Tego samego dnia zakończył się turniej tenisa ziemnego o Puchar Przechodni Dyrektora WZW. Zwyciężył lekarz wet. Ireneusz Kobyliński z lecznicy w Rajgrodzie, drugie miejsce zajął Wojciech Czubak z Szumowa, a trzecie — Jacek Sikora z Łomży.

Z OKAZJI XXX-LECIA Polskiego Radia w Białymstoku redakcja „Kontaktów" życzy kolegom radiowcom, dobrej słyszalności w najdalszych zakątkach Rzeczpospolitej.

wolny rynek

W dniu 15 października 1982 r. ceny na wolnym rynku kształtowały się następująco: ziemniaki (kwintal) — 800—900 zł, kilogram — 13—14 zł, kapusta (kopa) — 1600—2600 zł, śliwki (kilogram) — 50 zł, jabłka (kilogram) — 15—40 zł, gruszki (kilogram) — 20—30 zł, ogórki (kilogram) — 40 zł, dynia (kilogram) — 12 zł, pomidory (kilogram) — 15—70 zł, orzechy włoskie (kilogram) — 300 zł, kalafior (sztuka) — 15—80 zł, czosnek (główka) — 15 zł; grzyby zielonki (gromadka) — 50 zł, maślaki — 35; prosiaczki (para) — 3000—3500 zł; owies (kwintal) — 2500 zł; pszenica (kwintal) — 3500 zł; kura — 200 zł, indyk — 1500 zł, jajka (para) — 35 zł, śmietana (litr) — 200—250 zł, serki — 40—50 zł; sadzonki czarnej porzeczki (sztuka) — 50 zł, jabłoni — 200 zł, róży — 60—200 zł; magnetofon dwuścieżkowy — 8000 zł, łańcuszki srebrne włoskie — 1500—1700 zł; łyżki srebrne (6 sztuk) — 700 zł, kosmetyczki — 100 zł, dżinsy ścieralne — 8000 zł, spodnie sztruksowe — 5000 zł, kozaczki męskie krótkie prod. NRD — 10.000 zł; chryzantemy w doniczkach — 150 zł, cięte — 100 zł.

zdanie tygodnia

Naiwna byłaby pogoń za mirażem sztucznej jedności. Nie wysuwamy hasła „kochajmy się". Mówimy inaczej: spróbujmy, dla dobra narodu, porozumieć się wbrew wszystkiemu i mimo wszystko. Porozumieć się — to przede wszystkim chcieć zrozumieć innych.

WOJCIECH JARUZELSKI

myśl z atestem

Dobra to maksyma, gdy słowa są proste, a sens głęboki.

Przysłowie chińskie

punkt widzenia

FRANCISZEK ALIŃSKI, prezes Sądu Wojewódzkiego w Łomży: — W dniu 31 grudnia 1982 r., upływa kadencja ławników ludowych sądów wojewódzkich, okręgowych sądów pracy i ubezpieczeń społecznych oraz sądów rejonowych. Rady narodowe poszczególnych stopni na swych sesjach zwyczajnych w październiku br., dokonają wyboru nowych ławników na lata 1983—1986. Wybory zostały we wrześniu poprzedzone, kampanią wyborczą kandydatów na ławników w poszczególnych zakładach pracy i środowiskach wiejskich (270 zebrań w 28 jednostkach podstawowych). Uczestniczyli w niej sędziowie zawodowi, prokuratorzy i inni członkowie Zrzeszenia Prawników Polskich; wybrano 77 kandydatów na ławników Sądu Wojewódzkiego w Łomży, 77 kandydatów na ławników Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Białymstoku i 427 na ławników Sądów Rejonowych województwa łomżyńskiego.

Celem kampanii było nie tylko dokonanie wyboru ławników ludowych, którzy — wspólnie z sędziami zawodowymi — przez najbliższe cztery lata będą wymierzać sprawiedliwość w naszym województwie, ale także (a może przede wszystkim), przybliżenie społeczeństwu zadań i problemów wymiaru sprawiedliwości, oraz zintegrowanie tego społeczeństwa w podejmowaniu działań zmierzających do podnoszenia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego.

Na ile cel ten został osiągnięty — na pełną ocenę dziś jest jeszcze za wcześnie. Tym nie mniej już dziś mogę stwierdzić, że załogi zakładów pracy i środowisk wiejskich, w których odbyły się zebrania, z wielką powagą i dużym zainteresowaniem podeszły do problemów prezentowanych przez prawników. Dyskusja nacechowana była troską o sprawy bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego, a zabierający w niej głos robotnicy i rolnicy wysuwali konkretne postulaty pod adresem wybranych kandydatów na ławników, podkreślali np., pilną potrzebę surowego karania sprawców przestępstw spekulacyjnych, ludzi skorumpowanych oraz tych, którzy w sposób szczególnie rażący łamią prawo i zasady współżycia społecznego. Wszystkie zgłoszone uwagi i postulaty skrupulatnie odnotowaliśmy i będziemy uwzględniać w pracy. Szczera wymiana zdań i myśli, jaka miała miejsce w czasie zebrań, dała nam, sędziom zawodowym, bardziej wnikliwe i zupełnie nowe spojrzenie na wiele spraw związanych z problematyką wymiaru sprawiedliwości.

Gwoli prawdy wypada stwierdzić, że nie wszystkie załogi wykazały jednakowe zainteresowanie kampanią. W kilku zakładach pierwszy termin zebrań nie doszedł do skutku z powodu małej frekwencji. Na kilku z nich uczestnicy manifestowali postawę bierną wobec omawianych tematów. Niewątpliwy wpływ miały tu fakty, które nastąpiły po sierpniu 1980 r. Znaczna część społeczeństwa w kraju i w naszym województwie, niestety, zamknęła się w sobie i nie wykazuje żadnego, bądź prawie żadnego, zainteresowania sprawami publicznymi. Jest to zjawisko wysoce niepokojące, opóźniające szybkie i skuteczne wychodzenie z kryzysu.

wieści gminne

RUTKI. Rolnicy pogodzili się z nowymi cenami na mleko. Mają jednak wątpliwości, czy celowe jest dzielenie mleka na klasy, jeśli w zlewni zlewa się je do jednego zbiornika.

● Gospodarz z Ożar przekazał gospodarstwo rolne synowi ale — niestety — nie otrzymuje emerytury. Powód: nieuregulowany formalnie stan własności ziemi. Rozwiązanie proponowane przez Urząd Gminny nie odpowiada rolnikowi, pracowni-

CIĄG DALSZY NA STR 15

tzw. przeróbb

fot. Gabor Löriczy

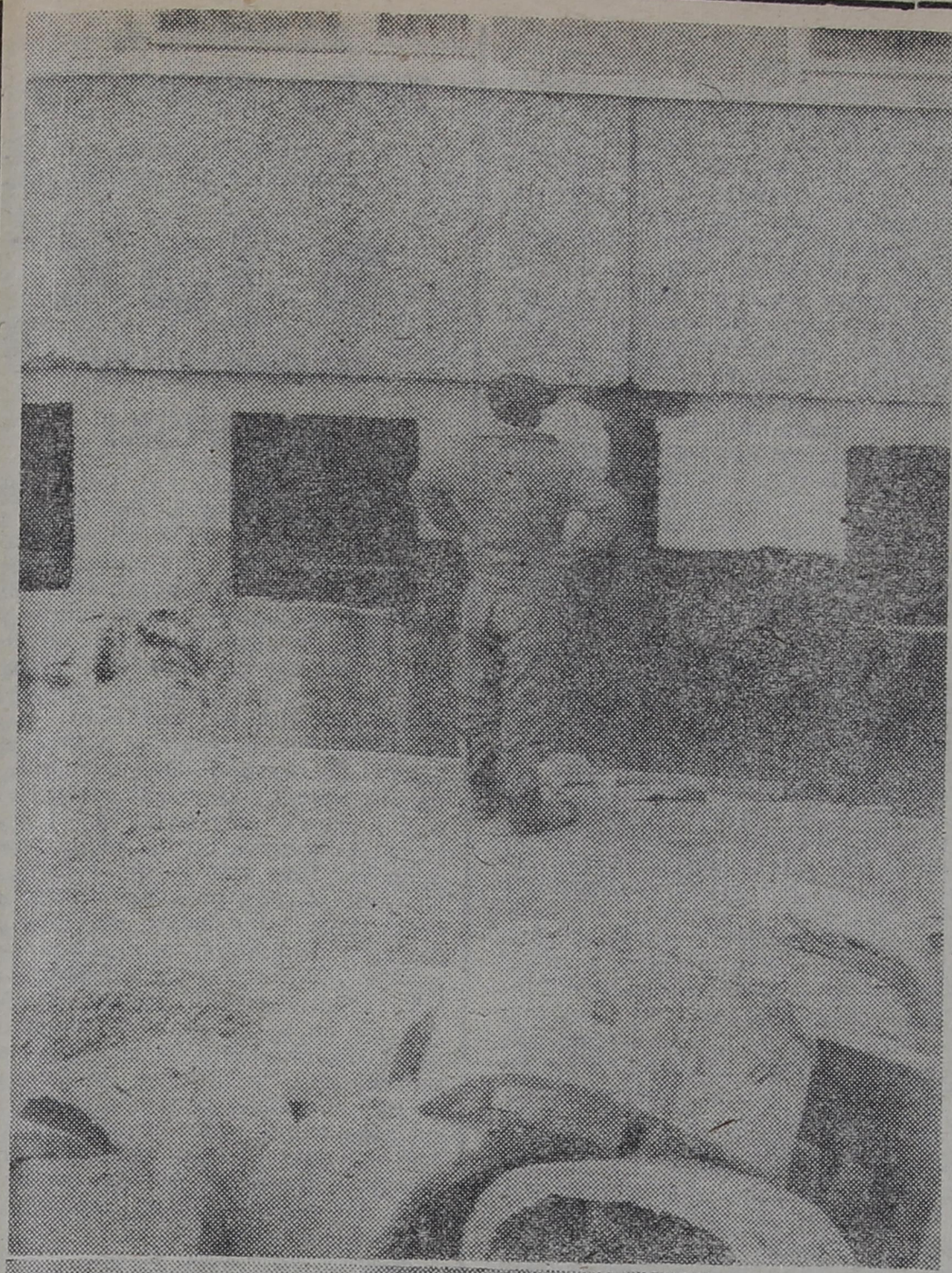

Pierwszym zadaniem, rzec można wstępem do wszelkich dalszych działań jest przywrócenie zdrowego modelu ekonomiczno-finansowego w budownictwie Ta fundamentalna gałąź gospodarki przez lata całe pracowała bowiem na całkowcie błędnych założeniach ekonomiczno-finansowych. Ponieważ fundusz płacowy zależał od tak zwanego przerobu, przedsiębiorstwu zależało — rzecz jasna — na maksymalnym zużyciu środków produkcji. I to jest cały sekret nadmiernej materiałochłonności, energochłonności

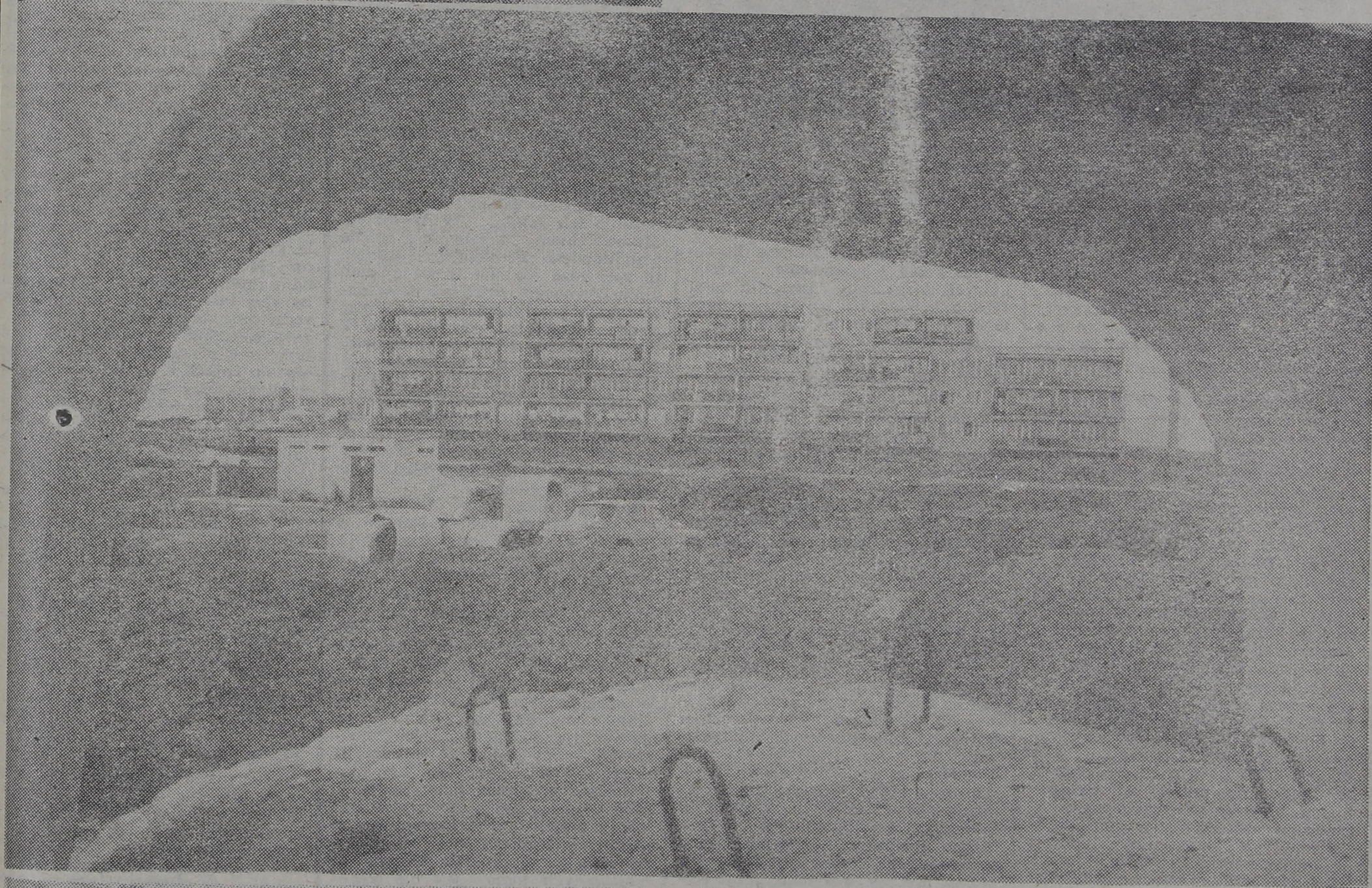

i transportochłonności obecnego budownictwa. Tu tkwi przyczyna nonsensownego wożenia po całym kraju olbrzymiej ilości materiałów i niszczenia wielkiej liczby środków transportowych.

Zapyta ktoś, jak to było możliwe? Otóż w budownictwie praktycznie nie istniał żaden sensowny rachunek ekonomiczny. Absurdalne, uśrednione wskaźniki, przyjmowane zamiast faktycznych danych, zatarły go zupełnie. Kształtowanie płac na budowie za pomocą tzw. długiego ołówka, płacenie za fikcyjnie wykonaną pracę doprowadziło do demoralizacji znacznej części kadry budowlanej. Są to szkody największe, ciążą bowiem nie tylko na budownictwie dzisiejszym, lecz zaważą także na jego przyszłości.

(Ewa Dobrowolska: „Będą czy nie będą". „Tygodnik Kulturalny" nr 29/82)

zbliżenia

AB URBE CONDITA

Po Kolnie i Zambrowie przyjrzyjmy się Wysokiemu Mazowieckiemu, wraz z którym do mozaiki krajobrazowej i kulturalnej Łomżyńskiego dołączony został kawałek równinnego i urodzajnego Podlasia. Jest to najmniej ludne z byłych miast powiatowych, ale wyróżniające się urodą; przynajmniej do niedawna, bo dziś dotarł i tutaj system OWT, czyli tzw. wielka płyta.

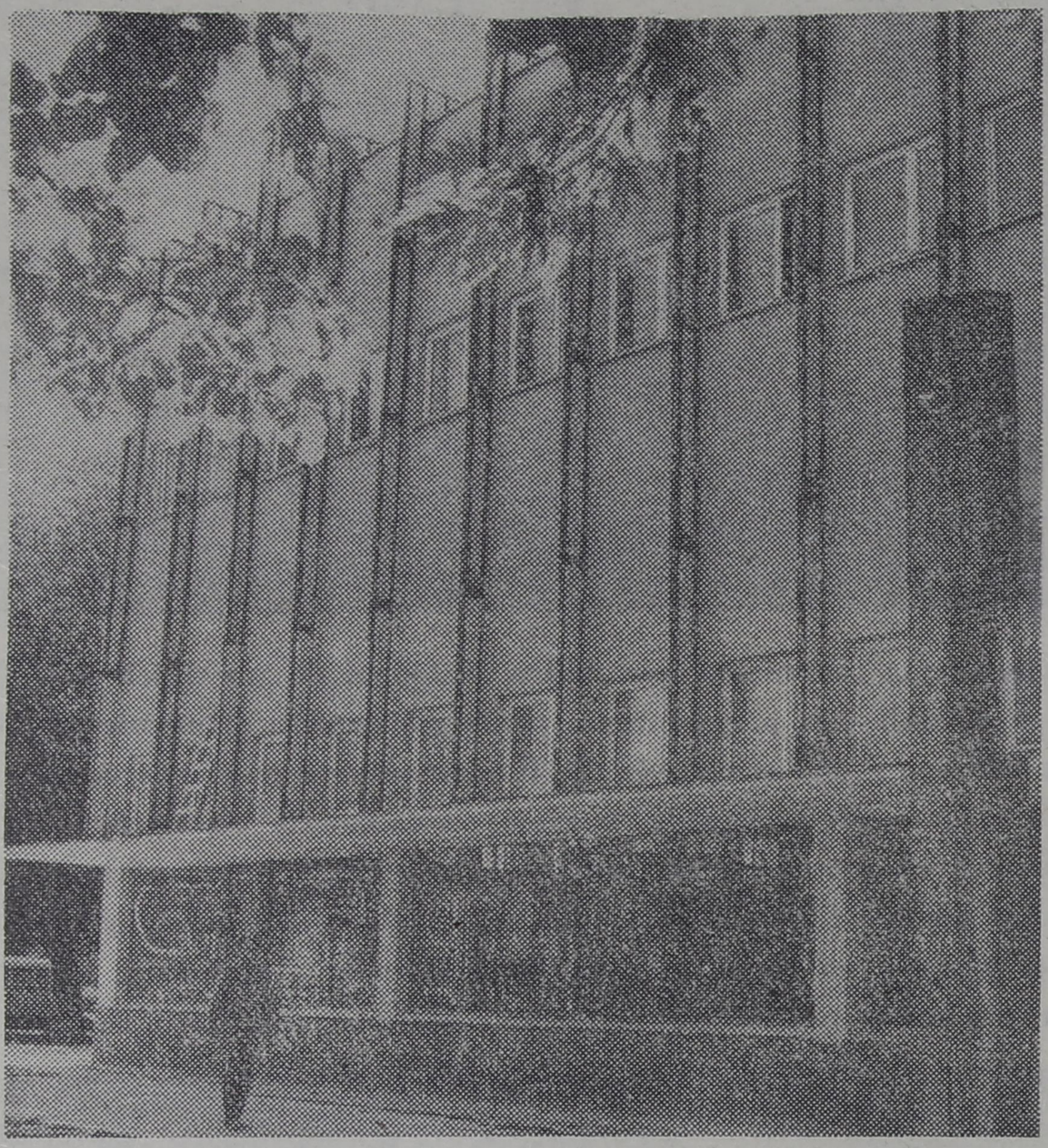

węzły gordyjskie

Przez minione pięć lat — mówi Józef Chrzanowski, naczelnik miasta i gminy — oddawaliśmy ludziom po 25 mieszkań rocznie, co w ponad sześciotysięcznym mieście stworzyło sytuację jak w milionowym: na mieszkanie oczekuje się co najmniej dwadzieścia lat. Teraz, kiedy weszło do budownictwa OWT, będziemy mogli oddawać trzykrotnie więcej. Odłączenie się od nas spółdzielni mieszkaniowej w Ciechanowcu powinno radykalnie poprawić sytuację.

Kiedy wjeżdża się do Wysokiego Mazowieckiego od strony Zambrowa — miasto odsłania się nagle zza lasu w niewielkim obniżeniu terenu, wita wiejskimi zabudowaniami osiedla Zagrodowego, piętrowymi domkami i willami bliżej drogi. Jadącym od Czyżewa lub z Szepietowa, pokazują swoją miejskość Zakłady Mleczarskie, Mięsne, POM, wszystkie w zieleni, wśród drzew. Nawet — będąca dziś ściekiem — rzeka Brok nie zdążyła wytruć roślinności wzdłuż swoich brzegów. Jedynie od strony szosy do Białegostoku miasto ukazuje plecy zabudowań gospodarczych i magazynowych, ale nowo wznoszone domy stoją już do niej frontami. Najwyżej w mieście stojąca budowla, kościół, robi wśród drzew wrażenie wiejskiego kościółka. Bloki z OWT będą więc zgrzytem w tym otoczeniu, mimo że ocienione lipami, które teraz, jeszcze młode ogrodzono stalową siatką przed konsekwencjami krzątaniny typowej dla każdego terenu budowy.

Do roku 1839 prywatne miasto Wysokie (wtedy jeszcze bez przymiotnika „Mazowieckie") nie było na naszych ziemiach rzadkością. Prawie regułą jednak stał się ich niedorozwój. Przeważnie dzieliły losy swoich właścicieli. Ludność ich była często mieszaniną nie tylko zawodów, ale i narodowości. Dobre drogi, przy których musiały leżeć, przyprowadzały pieniądze, ale niekiedy także wojenne i inne klęski.

Topograficzne położenie sprawiło zapewne, że Wysokie Mazowieckie już w roku 1239 zostało zapisane w inwentarzu biskupa płockiego jako osada należąca do grodu Święck. Po otrzymaniu z rąk króla Aleksandra praw miejskich w roku 1503, Wysokie (po 1863 roku przemianowane na Mazowieck) stało się ważnym ośrodkiem rzemiosła na Podlasiu. Było tu wówczas 60 rzemieślników, w tym 27 kuśnierzy i 24 szewców. W roku 1569 Zygmunt August dał je kanclerzowi Wielkiego Księstwa Litewskiego, Mikołajowi Radziwiłłowi, a po trzynastu zaledwie latach zostało sprzedane Hieronimowi Makowieckiemu. Potem właścicielami jego byli m.in. Opacki, Szczuka, Kątcy, Potoccy, zaś od roku 1839 — Ludwik Fiszer.

Na początku XIX stulecia liczyło Wysokie 864 mieszkańców, wśród których przeważali Żydzi. Od roku 1866 było siedzibą powiatu, a jego wpływy i znaczenie dla bliższej i dalszej okolicy nie zmalały nawet po utracie praw powiatowych, w roku 1870. Po odzyskaniu niepodległości przywrócono mu te prawa.

Zniszczony w 1939, z II wojny światowej wyszedł z 2121 mieszkańcami i 1059 budynkami. Dzisiaj liczy prawie siedem tysięcy mieszkańców i choć znowu nie jest miastem powiatowym, to zrównanie w dół, do gminnej funkcji, nie umniejszyło jego znaczenia jako ośrodka handlu i usług, ani wielostronnego oddziaływania na znaczną część województwa.

Wysokomazowiecki szpital obejmuje opieką prawie jedną trzecią terenu Łomżyńskiego. Mikroszpital w Ciechanowcu nie ratuje sytuacji, a rozbudowa istniejącego w Wysokiem Mazowieckiem jest w najbliższym czasie niemożliwa.

— Największy kłopot mamy z kotłownią — mówi Janusz Jarmuszewski, kierownik referatu gospodarki terenami i komunikacji w Urzędzie Miasta i Gminy. — To wysłużona staruszka, zbudowana razem ze szpitalem. Robimy wszystko, żeby wytrzymała jeszcze tę zimę.

Rozbudowa szpitala miała się rozpocząć od kotłowni właśnie, ale bez decyzji władz wojewódzkich całej tej sprawy z żadnej strony nie da się ugryźć. Wysokie Mazowieckie, jako jedyne z miast w naszym województwie, wybuduje oczyszczalnię ścieków wspólną dla przemysłu spożywczego i miasta (w tym i szpitala, który własne ścieki podczyści wpierw sam). Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Łomży jest inwestorem komunalnego kolektora. Całe miasto, poza rolniczymi peryferiami, będzie skanalizowane. Zatem ten uciążliwy problem każdej aglomeracji miejskiej zostanie tu rozwiązany. Co z drugim, równie ważnym, czyli ogrzewaniem budynków?

— Jest w projekcie, z przyszłorocznym terminem rozpoczęcia, budowa ciepłowni dla całego miasta. Pierwsze ciepło ma popłynąć z niej w 1986 roku. Już za cztery lata! Dla takiej inwestycji to rzeczywiście czas niedługi, ale nie dla szpitala. Przez rok można by zbudować nową kotłownię, ale tylko dostosowaną do jego obecnej wielkości, jak wiadomo — nie wystarczającej. Gospodarski rachunek każe budować kotłownię dla obiektu o nowych, o wiele większych, potrzebach. Koło się zamyka. Prawdziwy węzeł gordyjski. A przecież to *circulus vitiosus* powstaje, już wtedy kiedy bierzemy pod uwagę normalne realizowanie planów. Jeśli zaś dopuścimy do sprawy czynniki przeszkadzające wkrótce harmonię koła zastąpi jego kwadratura.

— A gdyby tak zawiesić na kołku budownictwo mieszkaniowe na jakieś dwa lata i wszystkimi mocami zabrać się za budowę szpitala? — pytam naczelnika. Długo milczy, rozważa tę nieprawdopodobną propozycję.

— Nie, to niemożliwe — odpowiada wreszcie. — Post mieszkaniowy już dłużej trwać nie może w Wysokiem Mazowieckiem. I tak odbiera nam wiele rąk do pracy, których wciąż brakuje. Ci ludzie z podmiejskich wsi, z Szepietowa, Jabłonki i innych miejscowości, dojeżdżający do pracy, muszą dostać mieszkania; to zapewni przyszłość naszemu miastu. Wszyscy wykonawcy większych inwestycji swoich ludzi tu dowożą! Jeśli nie wzmocnimy miasta ludnościowo, będzie ono skazane na marazm i różne niemożliwości. A przecież aktywność i samodzielność jest najlepszą gwarancją tego, że nie wypadniemy z gry w województwie, a nawet w kraju.

Kiedy oglądam ogólny plan zagospodarowania przestrzennego i słucham objaśnień Marii Kadłubowskiej, inspektora Zarządu Gospodarki Terenami, z całą jasnością widzę, że miasto rozwija się spokojnie i — co najważniejsze — planowane z odpowiednim wyprzedzeniem, nie nastręcza kłopotów projektantom. Nawet jeśli leży na gruntach IV i III klasy, niestraszne mu obostrzenia i zakazy nowych ustaw. Władze wcześniej pozałatwiały akceptacje na budownictwo na ziemiach IV klasy, kiedy zgoda leżała w kompetencji wojewody. Nowe rygory dają urbanistom okazję do pokazania ich sztuki. W Wysokiem Mazowieckiem z łatwością można tego dowieść. Pamiętajmy jednak, że sprawdza się ona w warunkach umiarkowanego rozwoju i — w porównaniu z sytuacją Łomży — jest wręcz akceptacją konserwatyzmu. Z drugiej jednak strony — to, co dzieje się od sześciu lat w Łomży, ilustruje „technikę siłową" w planowaniu rozwoju miast. Niektórym planistom śni się centralny krajowy plan zagospodarowania przestrzennego, co zwolniłoby ich od myślenia, a pozostawiło słodką funkcję kontroli rozdzielania zezwoleń.

Rola przyklepywacza decyzji administracji musi być odesłana do muzeum błędów i wypaczeń. Myślę, że — na przykład — radni Gminnej i Miejskiej Rady Narodowej w Wysokiem Mazowieckiem powinni mieć prawo (a jeśli nie mają — muszą się go dobić) podjęcia uchwały co do wielkości budowanych na wsi domów mieszkalnych, wyznaczonej liczebnością rodziny i jej demograficzną perspektywą na dwa pokolenia. Nie dlatego, aby ograniczyć budownictwo na wsi, a wzmocnić w mieście; przeciwnie — aby pomnożyć jego możliwości w sytuacji kiedy potrzeby materiałowe są zaspokojone w 30-40 proc. Przecież pobieżna nawet obserwacja przekonuje o bezsensownym gigantyzmie mieszkaniowego budownictwa na wsi. Połowa powierzchni budowanych domów jest nie wykorzystana. I nigdy nie będzie. Wzniesiona została dla popisania się. Jeśli sąsiad wybudował dom, mnie stać na jeszcze większy. To jedna, wcale pokaźna dziura, którą uciekają nam materiały budowlane. Drugą jest częsty — coraz częstszy, niestety — brak wykwalifikowanych fachowców, z których usług muszą korzystać prywatni inwestorzy. Majster z „załatwionymi" papierami lub działający (przy wiedzy władz gminnych) nielegalnie robi wszystko z zapleczem, żeby się nie zawaliło. Tak znikają dodatkowe ilości cementu, stali i innych materiałów.

Zaprowadzenie porządku w tej dziedzinie umożliwiłoby, być może, wcześniejszą rozbudowę szpitala w Wysokiem Mazowieckiem, a przynajmniej stałoby się ważkim argumentem za natychmiastowym rozpoczęciem tej inwestycji.

HENRYK GAŁA

Fot. GABOR LÖRINCZY

stodoła przy granicy

— W Czerwonem, mojej wsi, należącej podówczas do powiatu kolneńskiego — wspomina Franciszek Kubrak, pszczelarz z zamiłowania, rolnik z tęsknoty do własnych hektarów, a do 1939 roku mieszkaniec, żołnierz i wartownik pogranicza polsko-niemieckiego — mówili o wojnie: „Jak zacznie się kotłować, to tak szybko się nie skończy", „Zobaczy pan — przekonywała mojego stryja sąsiadka — jeszcze tu będą Rosjanie. Potem Niemiec pogoni ich daleko na wschód. Okropna wojna rozpali się na naszej ziemi i porwie w wir prawie cały świat. Ale Hitler będzie pokonany, bo tak mówi Wernyhora: *»Lecz czarny orzeł wejdzie na rozstaje, gdy oczy na wschód obróci, krzyżackie siejąc wokół obyczaje, z złamanym skrzydłem powróci«*". Żyd kupujący od ojca cielaka argumentował: „Stasiu, sprzedaj mi go za 15 złotych, bo zobaczysz, że przyjdzie do nas straszna wojna. My, Judajczycy, wyginiemy w niej prawie wszyscy, ale potem nadejdą takie czasy, w których kilogram naszej wagi będzie równy kilogramowi złota". Ojciec mu jednak nie opuścił i Żyd zapłacił 17 złotych.

a jak

STANISŁAW ZIELINSKI

Niemcy kupowali w naszej wsi bardzo dużo drzewa. Handel to handel; oni płacili, myśmy im piękne, duże sosny wieźli do tartaku w Königstal, miejscowości odległej od granicy o 12 kilometrów. Pewnego razu kumpel szturchnął mnie w bok i pyta: „Słuchaj, Franek, po co im tyle kozłów?" Nie miałem już wątpliwości: były to konstrukcje pod zasieki. Innym razem zauważyliśmy znów nowiutką drewnianą stodołę tuż przy naszej granicy. Ludzie myśleli: „Niemcy powiększają hodowlę krów i potrzeba im więcej siana". Mnie niepokoiła jej odległość od zagród. Nigdy nie zauważyłem, by ktoś tam jechał ze zbożem, choć codziennie drzwi miała otwarte i zawsze kręcili się wokół niej jacyś ludzie. W pierwszych dniach wojny stodoła znikła, a na jej miejscu pojawił się duży betonowy bunkier.

Polacy tych faktów jakby nie dostrzegali. Wieźli do Niemiec świnie, prowadzili małe i duże sztejery koni (po 6 i po 12 sztuk), chętnie wynajmowali się u Żydów lub Niemców do przewozu i wyjeżdżali czasami na dwa—trzy dni w głąb Prus. Ci z handlarską żyłką podejmowali się interesów na własną rękę. Na zimę kupowali konika za 100 lub 200 złotych, podkarmiali go przez kilka miesięcy i na wiosnę sprzedawali za 300—400, jeśli dobrze obgadali sprawę z granicznym weterynarzem w Wincencie, który trzymał ze wszystkimi nacjami, a najmocniej — z żydowską i niemiecką.

Konie z Polski szły do Belgii, Holandii, Danii. Przeznaczane były do pracy w majątkach czy kopalniach albo szły na rzeź. Ileż razy weterynarz graniczny zawyżał klasę towaru, a Niemiec brał, bo fachowemu selekcjonerowi wierzył, gdyż sierść na chabecie lśniła tak samo, jak na szlachetnym rumaku. Żydzi posiadali tajemnicę nadawania koniom połysku, ale strzegli jej jak największego skarbu. Nie mogłem tego zrozumieć: dlaczego w handlu tak zgodnie trzymali z Niemcami, ale gdy ci przyjeżdżali do wsi, bali się ich jak diabeł święconej wody. „Ci z wilczurami — mówili do Polaków — to SS-mani. Oni w swoim kraju noszą czapki z trupimi czaszkami i prześcigają się w uprzykrzaniu życia Żydom". Niejeden z nas posądzał ich wówczas o tchórzostwo. „Z handlem — szydziliśmy — pędzą do Niemców, ze strachem — do nas".

Im bliżej roku 1939, tym więcej w zachowaniach mazurskich Niemców pojawiało się buty. Przy granicy razem skrobaliśmy drzewo, więc nieraz wołaliśmy do nich: „Margarynę żresz, cholero, że ledwo machasz siekierą", albo: „Od nas wciąż tyle mleka bierzeta, a sami ciągle margarynę żreta". „Jo, siakrew — odpowiadali nam — ty margaryny nie żresz i masła nie widzisz". Lepiej od nas gospodarzyli. Niemiecki chłop

Kurp na wojnę

żniwował kosiarką, nasz machał kosą. „Co to jest, że u was lepiej rośnie?" — zapytywał się ich nieraz mój ojciec. Odpowiadali z coraz większym szyderstwem: „Bo u nas taki kroj, gdzie usiądziesz, to sroj", albo: „Tak gnojno, jak posrasz".

chodził

nie oddamy guzika!

Po odbyciu służby zasadniczej — już jako żołnierz rezerwy — do wojska trafiałem kilkakrotnie: do Różana, do Rusi Zakarpackiej, znów do Różana. Tylko co zdążyłem wrócić do domu na Wielkanoc, a już listonosz przyniósł następne wezwanie. W końcu postanowiono przydzielić przygranicznych do strażnicy w Kolnie. Kwatere otrzymaliśmy w plebanii.

Do granicy chodziliśmy codziennie. To samo robili też niemieccy strażnicy. Niby słońce świeciło i było spokojnie, ale w powietrzu czuliśmy już proch. Raz na strzelnicy w lesie pod Wincentą przygotowaliśmy stanowiska do strzelania i wypaliliśmy do tarcz, a tu jak nie nadleci niemiecki samolot! Niemalże po ziemi i po nas. Porucznik, dowódca plutonu, wydał komendę: „Padnij". Za kilkanaście minut przeciągnął nasz samolot ale tak wysoko, że ledwo był widoczny. Zahaczył skrzydłem o kawałek niemieckiego terytorium i natychmiast wrócił. Porucznik powiedział: „Widzicie, chłopcy, nie jesteśmy tacy słabi. Stać nas na działania: ząb za ząb". We mnie te słowa nie wywołały optymizmu. Widziałem ogromną przewagę Niemców.

Na odprawie na Wzgórzu 177, w pobliżu Bialików i Wykowa, gościł u nas pułkownik ze starszymi oficerami. Wypaliłem mu jak chłopek-roztropek: „Dość już nam w tym plutonie siedzieć. Jeśli ma być wojna, niechaj się zaczyna, szybciej spotkamy się w Berlinie". Gość uśmiechnął się i grzecznie mi odpowiedział: „Lepiej uważajmy się za słabszych, to staranniej do tego starcia się przygotujemy".

Krajowa propaganda podnosiła nas na duchu. Prawie wszędzie słyszeliśmy i mogliśmy wyczytać we wszystkich gazetach: „Nie oddamy nawet guzika". Doktor Podbielski, ówczesny prezes Spółdzielni Mleczarskiej w Kolnie (dziś słynny znachor w Międzyrzeczu), wręczając nam pistolety i erkaemy, które odbierałem osobiście, krzyczał do nas: „Prusy muszą być nasze, chłopcy!" Odpowiadaliśmy mu, przedstawicielowi Funduszu Obrony Narodowej: „Brawo, brawo! Prusy na pewno będą nasze!"

W plutonie obowiązywał codzienny rozkaz, aby jeden z nas przekraczał granicę niemiecką i kupował tam gazetę, a przy okazji uważnie obserwował, co sąsiedzi wyprawiają. Informacje się powtarzały. „Niemcy otwarcie budują przy granicy pas bunkrów, robią zasieki, zakładają miny". Jedna z naszych gazet — nie pamiętam dzisiaj jej tytułu — zawierała karykaturę Hitlera i Mussoliniego: kołysali się na huśtawce. Śmieliśmy się z obu próbując dociec, który z nich pierwszy spadnie.

Łomży już nie ma?

Początek wojny był dla nas pomyślny. Po pierwszych starciach doszliśmy aż do Königstal, a że nigdzie nie było większego oporu, wierzyliśmy w szybkie zdobycie Prus i zwycięską paradę w Królewcu. Wspierała nas kompania szturmowa porucznika Nowakowskiego z 33 Pułku. Poszliśmy dalej, lecz trzeciego czy czwartego dnia przyjechał do nas tankonetką patrol z rozkazem wycofania się. Dowództwo obawiało się, że Niemcy wciągną nas w głąb swego kraju i okrążą.

Dzień odwrotu skończył nasze sukcesy; od niego nie mogliśmy zmienić już kierunku marszu. Próbowaliśmy przynajmniej Niemców powstrzymać: zrywaliśmy mosty, zrzynaliśmy słupy telegraficzne. Lecz oni na czołgach, samochodach i motocyklach szybciej pokonywali odległości niż my — pieszo i na rowerach.

Przed opuszczeniem Kolna na moment wpadłem do Czerwonego. Był już późny wieczór, a we wsi ani jednego światła. Na drodze — żywej duszy. Wreszcie przy zagrodzie zauważył mnie stary Banach; niemal krzyczał: „Uciekaj stąd, bo za chwilę wkroczą Niemcy. W 1914 zabierali każdego kto dostał się w ich ręce!"

W domu jakby się spodziewali mojego przyjścia. Tylko skrzypnęły drzwi, a już matka ściszonym głosem zapytała: „Franuś, to ty?" Rozmowa była smutna, bo ciężkie przynosiłem wieści. Ojciec nadzieję pokładał w Anglikach i Francuzach; chciał zaprząc konia i szybciej odwieźć mnie do linii frontu. Matka ze łzami w oczach błogosławiła na drogę: „Niech was Pan Bóg prowadzi" Przyjmowałem jej słowa w imieniu czterech braci i szwagra, którzy podziewali się już nie wiadomo gdzie.

Pierwszy nasz żołnierz zginął koło Jeżewa. Następnych dwóch — na zbiegu dróg z Łomży do Kolna i ze Stawisk do Nowogrodu. Podczas odwrotu musieliśmy już to miejsce ominąć i pójść do Kątów.

W Szablaku przeprawiliśmy się przez Narew. Wcześniej wpadłem do ogrodu Gałązki i narwałem prawie cały chlebak pomidorów. W Kupiskach zastała nas piękna, słoneczna pogoda. Zanosiło się na kilka godzin odpoczynku. Porucznik wydał rozkaz zbadania sytuacji w Łomży. Jakbym tylko na to czekał. Jechaliśmy rowerami, a wysoko nad naszymi głowami ciągnęło trójkami dziewięć samolotów. Ludzie w Kupiskach brali je za nasze, a mnie niepokoił ich lot w kierunku Łomży. Nie myliłem się, za kilkanaście minut dał się słyszeć jeden wielki huk. Upadliśmy na ziemię; spojrzałem, a tam tylko dym i pożary. Myślałem, że Łomży już nie ma. Po kilkunastu minutach spokoju dymy uniosły się do góry: miasto stało na swoim miejscu.

Podjechaliśmy do Zambrowskiego Rynku. Wszędzie pożary, porozwalane domy. Ktoś niósł połamany rower, ktoś inny jeszcze — dymiącą oponę. Dużo ludzi zabił prąd, bo przed bombardowaniem zapomniano o wyłączeniu go z sieci. Kapucyni zbierali do trumien poległych.

Przez Chlewnie i Jaworzno szliśmy do Czerwonego Boru, gdzie mieliśmy się zgrupować. Tylko zdążyliśmy tam dotrzeć o trzeciej nad ranem, już Niemcy rakietami oświetlili miejsce naszej zbiórki, że igłę by znalazł, nie tylko żołnierz. Jak zaczęli sadzić bomby, jedną przy drugiej, wydawało się nam, że nikt stamtąd żywy się nie wydostanie. Żołnierze stracili żołd, bo została też rozbita pancerna kasa wojskowa. Większość ludzi z 18 dywizji dostała się do niewoli. Rozproszone oddziały schroniły się w lesie. Zwinąłem się i ja z jednym podchorążym. Wybraliśmy się do Rutek, by stamtąd pójść do Brześcia, miejsca kolejnego zgrupowania. Sądziliśmy, że tam Niemcy jeszcze nie doszli. Tylko co pokonaliśmy kilka kilometrów, a już ci mierzyli do nas z karabinów. Nie wiedząc, gdzie pójść, co robić, wróciłem do domu.

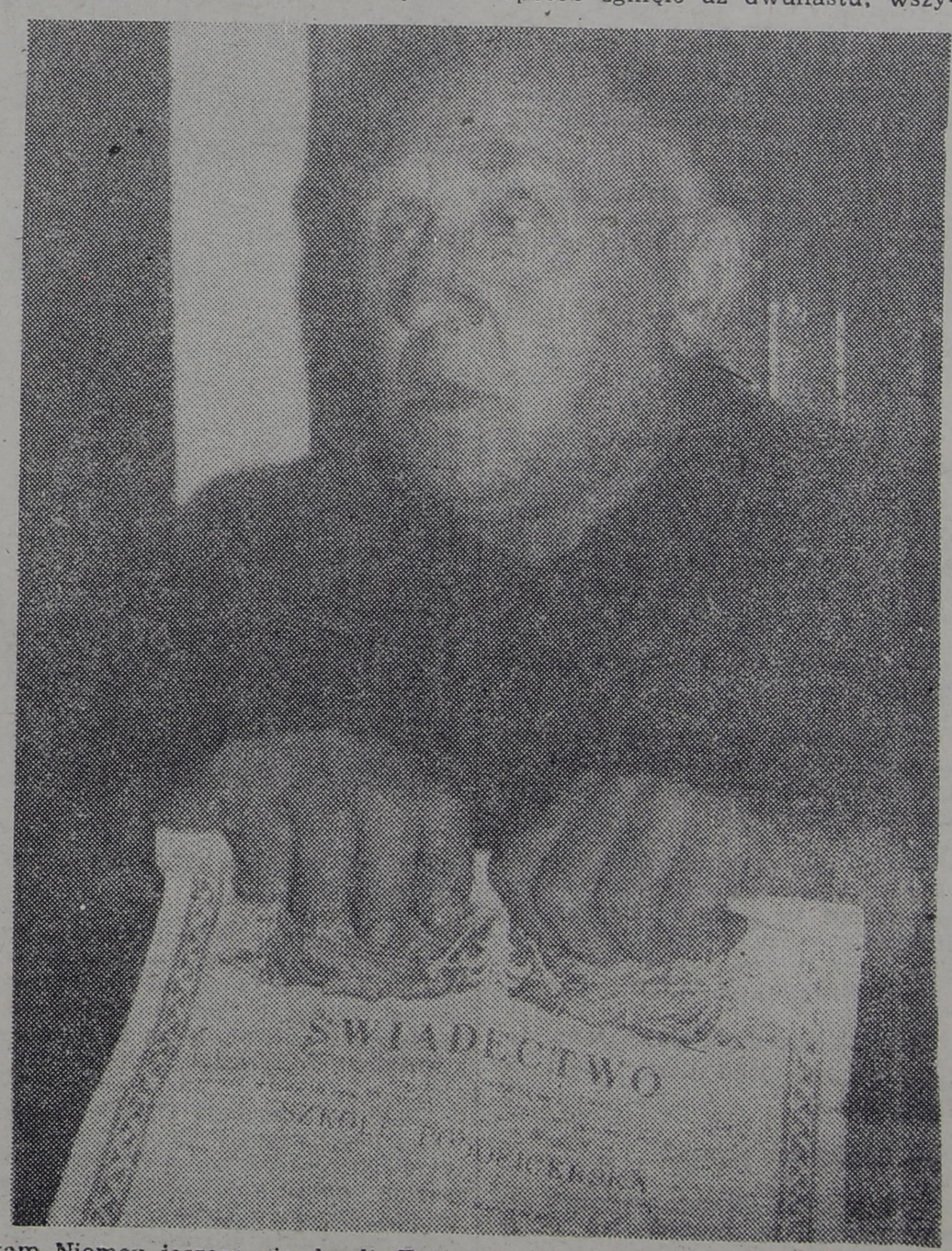

pług i oręż

W domu od pierwszych dni naszej przegranej organizowało się polskie życie podziemne. Brat z bratową uczyli w Kobryniu; tylko co zdążyli ujść z życiem przed bombardowaniem. Niebawem założyli w Kolnie tajne komplety. Wielu ludzi ukończyło szkołę średnią i zdało szczęśliwie maturę. Każdy starał się być przydatny. Kobiety do mleka odstawianego do mleczarni dolewały wody, a z nadwyżek robiły nocami twarde sery dla chłopców z AK i przebywających w obozie. Akcją organizowania paczek dla jeńców kierowała moja siostra. Zbierała mąkę, kaszę, groch, kawałki słoniny. Ludzie wyczuwali, że naszym w obozach musi być bardzo ciężko, choć listy docierały rzadko i za dużo w nich nie można było napisać. Ja, choć pilnowałem gospodarstwa, zostałem już w pierwszych miesiącach zwerbowany do AK. Nie było tak, że ktoś chciał, czy nie chciał; byłeś w wojsku — musisz należeć. Odpowiadałem za zaopatrzenie; wypadło raz po raz piasku nasypać do zboża dostarczanego Niemcom i nadwyżkę wagową zabrać dla swoich lub wpaść do masarni, gdy nikogo nie było, i zwinąć kilka pęt kiełbasy. Magazynowałem też broń i pilnowałem, żeby nie zginęła. W nocy w piwnicy naszego domu dostosowywaliśmy bębenki do nabojów od pepeszy; trzeba było tylko powiększyć dziurki. Gdy raz wierciliśmy je, na podwórku pojawili się Niemcy. Więc my zapleczem do schronu pod stodołą i kieratem. Ostała się na podwórku tylko matka. Jeden z Niemców chciał wydobyć z niej, gdzie jesteśmy; tak mocno kopnął ją w brzuch, że od tamtego czasu chorowała i wkrótce zmarła.

Największa klęska naszych partyzantów miała miejsce pod Żelaznymi, a mogliby jej uniknąć. Wracali po udanej napaści na niemieckie dwory w Korzenistem, Rudzie i Zaskrodziu; wzięli woły i zboże, ale zachciało im się odpoczynku w stodole. Poprzecinali żandarmom kable i byli pewni, że ci o ich akcji się nie dowiedzą. Tylko zdążyli ustawić broń w kozły, a już przybiegła do nich kobieta ze wsi, by się zwijali, bo szkopy idą w ich kierunku. Było już za późno. Nie przygotowani do walki — musieli otworzyć ogień. Młodzi byli, nie znali się na zasadach partyzanckiej walki. Co się który poderwał, by zmienić pozycję, żandarm ustrzelał go w locie. W ten sposób zginęło aż dwunastu; wszyscy leżą we wspólnej mogile w Łoszewie.

Był wśród nich także Schutzman, polski żandarm wysługujący się Niemcom na polecenie AK. Gdy ci zobaczyli jego zwłoki, zawołali ze smutkiem: „Jo, siokrew, to ten, u którego my bimber wczoraj pili. Szkoda, był z niego dobry chłop"

Fot. WOJCIECH SURAWSKI

historia i dzień dzisiejszy

postawy

WIESŁAW KOŁOWSKI

zdrowotny dziadek w Łomży

Zadzwonił redakcyjny telefon. — Jest u mnie ten uzdrowiciel, o którym pisaliście; trzeba to jak najszybciej ogłosić, żeby każdy chory skorzystał.

Na klatce bloku przy ulicy Armii Czerwonej (obok Straży Pożarnej) tłumek milczących ludzi; nie wszyscy mieszczą się w małym przedpokoju. Udaje mi się przełamać niechęć oczekujących i bez kolejki wejść do środka. Cisza, słychać tylko zamawianie dziadka. Chyba dla podtrzymania nastroju — płoną dwie świece w lichtarzach, pośrodku których stoi żelazny krzyżyk, a obok plastykowa tacka, pełna pieniędzy. Witam się z właścicielem mieszkania, Antonim Kotlewskim. Od lat siedzi w inwalidzkim wózku.

— Zaprosiłem Dziadka, bo myślałem, może mnie wyleczy. Nic z tego, jest bezsilny; miałem punkcję. Ale skoro tu przybył, zawiadomiłem wszystkich potrzebujących pomocy.

Dziadek nie zwraca uwagi na zdenerwowanie oczekujących. Jemu się nie spieszy. Czynności, bez względu na chorobę, są jednakowe. Metoda na przepuklinę, korzonki nerwowe, cukrzycę i nerwicę ciągle ta sama — kontakt ciała chorego z ciałem Dziadka.

— Pani zdejmie okularki — prosi Dziadek pacjentkę. — Przeżegnać się i założyć ręce na szyję. Boże, Boże, Boże... — woła Dziadek. — Już te boleści przechodzą na mnie. Zabraniam używać po mnie lekarstw. Jak źle się czujesz, boli głowa, nie używaj chemicznych środków, lecz zetrzyj chrzan i smaruj bolące miejsca.

— Nie popali? — wątpi pacjentka.

— Nie, można śmiało stosować — zapewnia Dziadek i wraca do uzdrawiania. — Boli jeszcze głowa?

— Już nie mam boleści. Panie Boże zapłać. — Oprócz podziękowania, sto złotych wędruje na plastykową tacę. — Nic mnie nie boli — uzdrowiona nie wierzy swemu szczęściu, wygina się, kręci głową.

— Pamiętajcie, żeby po mnie nie przyjmować żadnych lekarstw — upomina Dziadek. Odnoszę wrażenie, że mówi to ze względu na obecność dziennikarza. Musi być jasność; szanujący się znachor nie może pozwolić, aby konkurencja odbierała mu wiarę chorych.

Dziadek prosi do siebie kolejną pacjentkę. Pani Sikorska, siostra PCK, skarży się na odciski i zawroty głowy.

— Jak twoje imię? — pyta Dziadek.

— Jadwiga.

— Przeżegnaj się. Obejmij mnie. Boże, Boże... — powtarza i tuli panią Jadwigę. — Usiądź, zdejm buty — Dziadek obmacuje nogę pacjentki, przesuwa dłoń wzdłuż kości, kreśli krzyże. Po zabiegu pani Jadwiga jest zdenerwowana; idzie do kuchni, pali papierosy, jednego za drugim.

— Pomogło pani? — pyta Antoni Kotlewski.

— Zawrotów głowy już nie mam — twierdzi pani Jadwiga. — Jak mi tak naprawdę pomoże, to dam jeszcze na mszę świętą.

— Czy pan przyjmował zastrzyki? — pyta kolejnego pacjenta Dziadek. Odpowiedź twierdząca bardzo go martwi.

— Przeżegnaj się Janie.

Dziadek przechyla głowę Jana, dotyka ustami jego uszu, woła — Boże, Boże!

— Lepiej pan słyszy?

— Tak samo. Miałem wypadek samochodowy, w nogach też czuję jego skutki.

Dziadek dotyka nóg, kreśli na nich krzyże, powtarza swoje zaklęcia. — Mam również nerwicę — korzysta z okazji Jan.

— Chyba te szkiełka przydają nerwów — zastanawia się Dziadek. — Zdjąć okulary i nie wkładać ich więcej — radzi Janowi. — Jan odwraca się, wkłada okulary, szuka portmonetki, a następnie kładzie pieniądze w koszyku od chleba, który gospodarz domu pożyczył Dziadkowi.

Uzbierało się już sporo. Wystają z koszyka setki, pięćsetki, tysiączłotówki. Dziadek wyjmuje pugilares, upycha pieniądze. Czekający na uzdrowienie niecierpliwią się. Dziadek, świadomy swojej mocy, zapewnia, w kaznodziejskim uniesieniu, chorą na stawy: — Zapowiadam, że już nie bolą. Moje serce powiedziało, że masz być zdrowa. Tak długo będziesz zdrowa, dopóki zasłużysz u Boga. Jeśli nie zasłużysz, to zginiesz jak zeschły liść, który odpada jesienią od drzewa.

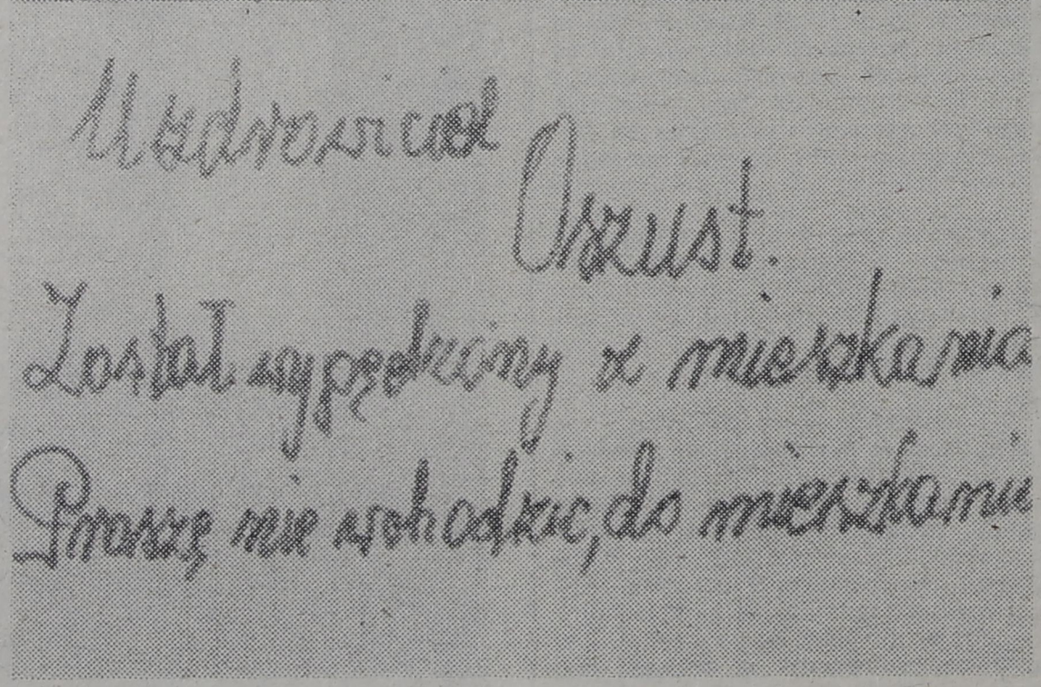

Na pytanie o sumę upchniętą do pugilaresu, wyjaśnia: — Z lekarzami można rozmawiać, jeśli w kieszeni są dolary. U nas, w Hajnówce, buduje się kościół: ja na tę budowę włożyłem sto tysięcy!

Ciszę po monologu Dziadka przerywa płacz dziecka. Oczekujący, dla świętego spokoju, godzą się, aby zbadać je poza kolejnością. Niełatwo jednak uspokoić Tomka. Nie pomagają cukierki, które dziadek wyszukał w swoich pakunkach. Biała, długa broda dziadka kojarzy się Tomkowi z czymś nieprzyjemnym. Każdego może zdenerwować kwilenie Tomka, nic więc dziwnego, że Dziadek czym prędzej odprawia chłopca z mamą.

Co chwilę dzwoni telefon. Ludzie pytają o uzdrowiciela. Gospodarz Antoni Kotlewski zaprasza wszystkich i namawia do zwoływania następnych. — Biuro Spółdzielni Inwalidów już powiadomione — informuje swego rozmówcę.

Kolejna pacjentka skarży się na cukrzycę. Dziadek powtarza rytuał: każe się przeżegnać, obejmuje chorą, przytula, woła: — Boże! — Jego zaklęcia przerywa szloch pacjentki. — Nie płacz, złotko — uspokaja uzdrowiciel — za rok skończą się twoje boleści. Zapowiadam tobie, że nie będzie boleć.

Kobieta, którą przed chwilą Dziadek uzdrawiał, nie wierzy w skuteczność pomocy jej dziecku. — Ono ma niedorozwój... — mówi ze smutkiem.

Kazimiera, z bolącym gardłem, łuzami w kręgosłupie i bólem nóg, siada na krześle. Dziadek szczypie ją w szyję, całuje. Potem zamawia nogi. — Proszę stanąć, żadnych boleści pani nie ma! — Pieniądze wędrują na tacę.

— Za dużo dawaliście jej leków — strofuje Dziadek matkę kilkuletniej dziewczynki. — Organizm jej wybladł, jak gotowane kartofle. Połóż Dziadkowi na szyję rączki. Oczki i cera od tych lekarstw zmieniona.

Dziadek przerywa badanie. — „Gazeta Współczesna" pisała, jak uzdrawiałem na odpuście. Zakonnicy byli temu przeciwni, nie mogli znieść, że mam większą łaskę u Boga niż oni.

Dziadek opowiada, ale dobrze słyszy, co się wokół dzieje. Zmartwiona kobieta głośno się zastanawia, czy zdąży przywieźć ciężko chorego. — Przywozić! Ja nie odmówię nawet o północy — przerywa jej wątpliwości dziadek. Jak trzeba, pójdę zimą dziesięć, dwadzieścia kilometrów, bo tak mnie kazał Bóg.

Babcią z laską nie zajmuje się długo. Więcej czasu poświęca uzdrawianiu Grażyny.

— W piętach ma pani ochłodzenie, stąd bierze się ból gardła. — Poszczypuje szyję pacjentki. — Ja czuję, że głowa już nie boli. Jeszcze wątroba i serce? — Dziadek ponownie obejmuje pacjentkę. — Słyszę, że pani dużo lekarstw otrzymała. Ale teraz już boleści nie ma!

— Wyściskał, wycałował i dobrze — podziwiają wszechmoc dziadka obserwujący jego uzdrowienie z daleka.

Kiedy chowam notes i zbieram się do wyjścia, podchodzi do mnie Dziadek, obejmuje, przytula. Czuję łaskotanie brody na policzku. Z przejęcia nie słyszę, co do mnie mówi. Po chwili rozumiem: opowiada o jednym ze swoich uzdrowień.

Na klatce schodowej coraz więcej ludzi. Niewielu wśród oczekujących kalek i starców, dużo natomiast ludzi młodych. W piątek Zdrowotny Dziadek przyjmował od ósmej do pierwszej po północy, w sobotę — od siódmej do trzeciej rano, w niedzielę — od ósmej do czternastej. Później poprosił o odwiezienie do Warszawy. Postanowił zebrane pieniądze zawieźć córce. Wrócił w poniedziałek i przyjmował niemal do dwudziestej drugiej, potem został wyproszony.

Kiedy we wtorek odwiedziłem Antoniego Kotlewskiego, nie mógł o tym mówić spokojnie. — To wina „Kontaktów", wprowadziły ludzi w błąd. Napisaliście, że to uzdrowiciel, a on okazał się zwyczajnym oszustem. Jestem zbyt zdenerwowany, niech pani Sikorska opowie, jak to było.

— Kiedy przyjechał z Warszawy, czułam, że jest pijany. „Dziaduś sobie dzisiaj wypił". Nie zaprzeczył, poprosił o herbatę. Kazał przynieść pół szklanki wody z esencją i wlać do niej dwa kieliszki spirytusu. Widziałam, że dopełnił szklankę płynem z butelki, którą miał w torbie. W tym stanie zaczął przyjmować ludzi. Doszło do tego, że młodsze kobiety prowadził do łazienki, aby tam je zbadać. Jedna wybiegła potem zdenerwowana, poprosiła o papierosa, mówiła, że pozwoli się badać ginekologowi, ale nie Dziadkowi. Wieczorem czułyśmy się zmęczone. Koleżanka, tak niby do mnie, powiedziała: „Mamy teraz przedłużone dyżury, więc pana Kotlewskiego Dziadek mógłby wynagrodzić; postawić kawę, czekoladę". Ale Dziadek udał, że nie słyszy. Później pan Kotlewski zażartował, żeby koleżanka zgasiła światło, a ja zabiorę torbę z pieniędzmi. Tym razem Dziadek usłyszał. Schylił się do torby i zaczął wrzeszczeć, że go okradziono. Pan Kotlewski nie wytrzymał, krzyczał na Dziadka, że jest oszustem, że wyłudza od ludzi pieniądze, i wymówił mu gościnę. Dziadek zebrał swoje klamoty i rzeczywiście się wyniósł. Sama odczułam, że to oszust — kończy pani Sikorska — bo w sobotę głowa mnie nie bolała, ale w niedzielę zaczęła tak boleć, jak nigdy dotąd.

O tym, że Dziadka już w Łomży nie ma, nie wszyscy wiedzą. Co chwilę dzwoni telefon. Antoni Kotlewski powtarza. — To nie był uzdrowiciel, lecz oszust, łabuz i drań.

— Niech pan mi powie, czy ten z Konina jest taki sam? Byłem u niego kilka razy, on leczy przez dotyk. Dwa razy pomogło, dwa nie. Czy warto jeździć? Może stracę tylko pieniądze...

— Uzdrowiciel z Konina to co innego! — przekonuje pani Sikorska.

Imiona i nazwiska zostały zmienione. A tekst powstał nie z odrodzenia się naszej wiary w moc Zdrowotnego Dziadka, lecz z obowiązku dziennikarskiego, który kazał nam odnotować, jak takie — już zdemaskowane („Kontakty nr 25 i 26/82) — zjawisko funkcjonuje w środowisku wielkomiejskim.

Fot. WOJCIECH SURAWSKI

disco na klepisku

W środku wsi, nieopodal krzyża, ksiądz Antoni Czajkowski wystawił granit, na którym zdobnie utrwalono herb i daty: 1424—1980. Z jakiej okazji kamień tu stanął, w Czajkach niewiele mogą powiedzieć. Jeszcze mniej wiadomo, co też owe lata wyznaczają. W rodzinnej pamięci Czajkowskich zachowały się jedynie dwie dziadkowe opowieści — choć zmarło mu się w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia, już przy ludowej władzy. Ich tragizm zawsze poruszał wyobraźnię słuchaczy. Dziadek przypominał je w momentach trudnych i ciężkich dla rodziny.

Daleko przed pierwszą wojną straszny głód i nędza zapanowały w Czajkach. Czyj koń mógł się jeszcze dowlec gdzieś poza wieś, ten zaprzągał go i od sąsiadów kaszy jaglanej kupował. Gospodarze za woreczek krup własnymi zagonami płacili. Z tego głodu drugie nieszczęście na wieś spadło: pomór na ludzi. Padali jak muchy i już nie było komu urządzać pochówku. Bardziej zapobiegliwi i troskliwsi o własne kości kopali sobie wądołek i nad nim czekali ostatniej godziny. Pomorek wygarnął prawie wszystkich; tylko troje ludzi w Czajkach zostało. Jeszcze dziś widać, na jarkach pośród lasu, miejsca brzeziną porosłe — znak, że tam kiedyś uprawiano pola.

Wśród tych trzech przetrwał zapewne jakiś Czajkowski, bo i teraz, w każdej nieomal chałupie, zawsze ktoś rodzinnie z nazwiskiem tym jest związany (teraźniejszość kuzynowskie miana „wujna", „stryjna" zastąpiła chłodniejszym słowem „pani").

Stefanowa Czajkowska przyszła do Czajek z Kobylina. To było już w czasie wojny. Przez jej wieś ciągnęli na początku września uciekinierzy, nie bardzo wiedząc, dokąd i po co: „Niemcy już na warszawskiej szosie". Nie dowierzali. „To pewnie sojusznicze wojsko idzie nam na pomoc, nie gadajcie bzdur". Niemcy pozostawiali samochody w pobliżu kościoła i zaczęli rozglądać się po wsi. Chodzili częstowali czekoladą. Mieli jej pełno, z polskich sklepów. W jej rodzinnym domu pojawiło się kilku żołnierzy. Rozłożyli mapę na stole i wołali: „Panenka! Polska nein, Polski ne ma. Rydz-Śmigły weg". I tu pokazywali wypukłe kieszenie, co znaczyło, że dużo pieniędzy nabrał marszałek przed ucieczką. Panienka, czyli przyszła Stefanowa, okropnie się wówczas

zdenerwowała. „Polski nie ma?! Polska będzie! Stąd — dotąd". I pokazała ze złością, od którego to morza, do którego. Niemiec pociągnął ją za rękę i stanął przed matką: „Panenka pyff"; i coś tam jeszcze szwargotał po swojemu. Nic jej jednak nie zrobili; widać tacy ludzie popadli. Wkrótce odeszli.

W ciągu trzech lat przychodzili ci z trupimi czaszkami. Czajkowiacy umykali po wsiach, czekali zmroku, poupychani w mysich zakamarkach. Stefanowa Czajkowska z niemowlakiem na ręce w ostatnich dniach wojny popędziła do swojej matki. Ta schowała ją w piwnicy. „Jak nas wybiją, dzieciaku — powiedziała — to choć ty jedna z rodziny zostaniesz". Sowieci byli tuż-tuż, na Pszczółce. Jak tylko zszarzało, ludzie zaczęli pojedynczo wysypywać się z chałup i pod kulami przemykali do lasu. Ona (dziecko na jednej ręce, tłumok w drugiej), nie spojrzawszy w przestrachu ani razu za siebie, dotarła do leśnej gęstwiny. „Zdrawstwujcie, zdrawstwujcie" — powitał ich pierwszy na koniu.

Któregoś dnia dziecko zachorowało tak mocno, że aż mu w obydwu boczkach chrzęściło. Poszła więc do Sowietów, do felczera. „Cóż ja mogę pani dać?! Wszystkie leki mam dla dorosłych — powiedział przez tłumacza. — Ale niech pani utrze chrzanu, przyłoży na płóciennej szmatce do obu boków". Określił, na ile minut. Wyciągnęło. Dzieciak wyzdrowiał z zapalenia „lokkich".

Jak już wszystko ucichło, Czajkowscy powracali do Czajek; Stefanowa — z żeliwnym sagankiem. Powracali do wądołków. W ich sie-

dlisku ojciec należył chyba czterdzieści po wybuchach armatnich. Czterdzieści razy mogli zginąć. Zostali bez domu, dobytku, bez żywiny. Dorabiali na Prusach: kupowali wełnę, tu ją przędli, farbowali i wozili do Warszawy. Bo przecież nie było kiedyś kontraktacji na ziemniaki, na których, co tu dużo mówić, cała wieś się teraz dorabia.

Stefanowa Czajkowska dwie córki i trzech synów pokształciła. I to było jej największe szczęście. Przed wojną z gospodarstwa można było wyuczyć tylko jednego. Wszyscy pracowali na takiego szczęśliwca. Czajkowscy uczyli syna na księdza. Czworo rodzeństwa z

tym Niemcu w Tykocinie, któregoś ranka pojawiły się we wsi „trupie czaszki". Matka Stanisława schowała chłopa pod podłogę, w piwniczce, sama stanęła z dzieckiem koło furtki, eksponując brzemienność w spokoju o swój los. Jej przecież wziąć nie mogą. Oni tymczasem nie przebierali. Kto próbował uciekać do lasu kładli trupem. W ten sposób zginęła matka Aleksandry, żony Stanisława. Matkę Staśka, wówczas kilkuletniego brzdąca, i ciotkę Janinę powieźli gdzieś. Wróciła tylko ciotka. Pewnie że doznała wiele goryczy, lecz wcale nie musi odstępować jej wszystkim, którzy zła nie doświadczyli.

Największe szczęście: dobrze wyjść za mąż. A Stefan Czajkowski to bardzo dobry człowiek. Bardzo dobry. I dzieci są bardzo dobre.

O tych, którzy wieś zostawili w poszukiwaniu lekkiego chleba, wyraża się niezbyt pochlebnie: inteligencja szpagatowa, niewarta rolnika nawet w tyłek pocałować. Przed rodzinnymi legatami, którzy w wolną sobotę przyjeżdżają to po rybki, to po grzybki, to po jajeczka świeżuchne, drzwi trzeba zapierać, żeby się lenistwa oduczyli, papieros z zębów wyjęli, obcasy, co się ledwie na nich trzymają, odstawili. I komu w Polsce bieda?!

Kończy Czajkowska pospiesznie i pędzi z córką, dziedziczką, na kartoflisko. Kopaczka kółkowa przyjechała kilka godzin później, i dopiero po wczorajszych interwencjach. Według zapisu — powinna tu być przed tygodniem.

Domy w Czajkach, zupełnie jak ludzie, tylko najbliższe pokrewieństwo demonstrują — stykają się prawie dachami. Czajkowscy z dalszych domów oddzielają się od kuzynostwa pylistą drogą. Stanisław Czajkowski, od roku sołtys w Czajkach, od krewnych woli być z daleka. Już ta jedna, przez ścianę, dosyć krwi napsuła. Ni stąd, ni zowąd wstrzymywała im — interweniując w Radiu, w Telewizji, w urzędach — kolejne budowy: stodoły, obory, domu. „Bo jej to akurat niepotrzebne". Niby swoje udziały w tym gospodarstwie ma — co prawda te procenciki czapką by nakrył — ale to nie powód, by bliźnim życie uprzykrzać.

Kiedy głośno zrobiło się o zabi-

dużego, bo prawie 50-hektarowego, gospodarstwa dorabiało dodatkowo w lesie. Słodko nie było. Nawet w sklepie wisiał napis: *„Cukier krzepi urzędnika, bo nie przystępny dla rolnika"*.

Jej wystarczyło powszechnej nauki i wiedzy od ojca. Umiał czytać i pisać po rosyjsku, w Ameryce się ogładził. Od niego przyjęła płynność mowy, jędrność języka, a i inne talenty, których — jak tego wymaga czajkowskie dyplomatyczne podejście — ujawniać nie chce.

Samodzielne gospodarowanie zaczęli Czajkowscy od budowania. Marek i Bogdan, wtedy niedorostki, coraz częściej zadawali dziadkowi pytanie: dlaczego nic nie budujesz? Drewniane komórki waliły się na potęgę.

Co ojcu można było podpowiedzieć? Jego gospodarka, jego wola, jego pieniądze. Czajkowski, dziedzic, harował niby na swoim z Aleksandrą, ale nie dla siebie. Dopiero przed dziesięciu laty, jak już naprawdę zaczęli gospodarzyć na własną rękę,

ruszyli z budową. Bo aby coś zrobić, trzeba najpierw zainwestować. Najpierw stanęła stodoła z białej cegły; na jej skrzydłach — dwie obory. Z materiałami budowlanymi zawsze na wsi było krucho. Oni szczególnie ciężko je zdobywali. Dwie obory pobudowali z kamiennych głazów, które ściągali z okolicznych pól przez kilka lat.

Z tego okresu pamiętają nie tyle swój wysiłek, ile trud Siwej — dereszki pracowitej jak rzadko który koń. Jest teraz w gospodarstwie na specjalnych prawach. Kiedyś już chcieli ją sprzedać. Koń i traktor w gospodarstwie to duży zbytek. Powiózł więc Stanisław Czajkowski dereszkę na punkt skupu (gospodyni z żalu schowała się do chałupy). Ale w skupie wziąć jej nie chcieli, bo była za bardzo otłuszczona. Czajkowski zaprowadził Siwą do domu i wcale się jej powrotem nie martwił.

Dziś, gdy trzeba uruchomić traktor — a ma zużyty akumulator — dereszka wspomaga mechaniczne konie. Siwa ciągnie z mozołem i po chwili rozlega się: pyrr, pyrr. Na ten odgłos zazwyczaj się zatrzymuje i czeka na gospodarza. Mądre konisko. Wychowane przecież od kiziaka. Od najmłodszych lat biega za domownikami jak psisko po podwórku.

Trzech dziedziców Stanisława — Marek, Bogdan i Stasio — do Siwej zbyt wielkiego sentymentu nie ma. Oni stawiają na konie mechaniczne: emzetka, wueska... Stasiek, najmłodszy, uczeń czwartej klasy szkoły podstawowej, potrafi traktorem jeździć nie gorzej od swych starszych braci.

Pyrkotałby nim cały dzień. Swą smykałkę do prowadzenia pojazdów mechanicznych przeraził, a i wprawił w zdumienie, całą rodzinę. Bodajże dwa czy trzy lata temu, kiedy wszyscy kopali ziemniaki, ni stąd, ni zowąd w polu widzenia dojrzeli ciągnik. „Oho, ojciec wrócił i jedzie nam pomagać" — powiedziała Aleksandra. Im bardziej sylwetka traktora stawała się wyrazista, tym trudniej dostrzegało się kierowcę. „Sam ciągnik jedzie czy co?" — dziwili się wszyscy. A to Stasiek posuwał na pole; jego głowa ledwie zza kierownicy wystawała. Z samochodem junior też nieźle sobie radzi, szczególnie w awaryjnych sytuacjach.

Używaną skodę 100 S kupili wówczas, jak ciotka Janina wstrzymała budowę domu. Mieli trochę pieniędzy, więc żeby chłopcy zimą nie marzli na motorach, wydali je na samochód. Marek i Bogdan, obaj uczniowie Technikum Rolniczego w Krzyżewie, dojeżdżają tam każdego dnia. Marek, pierworodny, szedł do Krzyżewa w przekonaniu, że rolniczy zawód jest jego powołaniem. Bogdanowi natomiast przetłumaczyła matka: „Synu, jak masz skończyć jakieś byle co (a chciał koniecznie zostać kierowcą), lepiej idź na rolnictwo. Zawsze to porządny kawałek chleba".

Marek ma już ustalony plan. Kiedy skończy technikum, wybierze jakąś niewielką gospodareczkę. Kupić ją teraz można wszędzie. Na studia? Po co wyrywać sobie z życia dobrych kilka lat, kiedy nie ma z tego żadnej korzyści. W tym czasie można się nieźle już zagospodarować.

Na podwórku, tuż za rozwalającą się drewnianą chałupinką, którą myszy w kątach poprzegryzały, stoją fundamenty pod przyszły murowaniec, drugi we wsi pię-

trowy budynek. W letnie wieczory, dopóki stodoła była pusta, chłopcy urządzali dyskotekowy szał na klepisku.

Gdyby ciocia nie piętrzyła przed nimi coraz to nowych trudności, na pewno już tę budowę ich życia mieliby za sobą. Zgromadzili trochę „suporku" i cementu. Ten, gdy budowę przyszło schować pod folię i czekać rozporządzeń władzy, pożyczali sąsiadom. Budowa figurowała w planach gminnych, tylko że materiał jakoś do nich nie spływał. A już było wiadomo, że po odblokowaniu wszystkich urzędowych zakazów — zdrożeje, i to w dwój-trójnasób. Ci, co z nimi budowy rozpoczynali, już mieszkają na własnym. Chyba doskokami gromadzić wszystkiego nie będą.

Gminna władza wystawiła w centrum wsi zbiornik przeciwpożarowy. W statystycznych wykazach wygląda tak: pięknie betonowany, zabezpieczony siatką, dookoła ocieniony drzewami, a woda w nim czyściuteńka. Na razie paskudzą ją gospodarskie gęsi i kaczki. A kąpiele odbywają się sporadycznie i całkiem niezamierzenie. Do trzymetrowej głębi wjechał, bodajże ubiegłej, jesieni Stefan Czajkowski wozem naładowanym po brzegi snopami. Koń tylko własnemu sprytowi zawdzięcza, że uszedł z życiem. Pewnie fakt ten w wielowiekowej historii wsi nie ma wielkiego znaczenia, ale dziś wszyscy o nim mówią.

ALICJA ZAGÓRSKA
Fot. WOJCIECH SURAWSKI

rodzinna historia Polski

interpretacje

raport o st

dojrz
d z i

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Przed kilkunastu laty, jeszcze za Polski powiatowej, ówczesny premier, Józef Cyrankiewicz, wybrał się na polowanie. Jechał bez kierowcy i obstawy, w pełni *incognito*. Aby nie zostać rozpoznanym, bał się zapytać w Łomży o drogę i błądził po mieście ponad godzinę, tłukąc resory na „kocich łbach". Nazajutrz wezwał ministra Gospodarki Komunalnej i polecił zrobić w Łomży porządek. Później przez kilka lat władze wojewódzkie w Białymstoku tłumaczyły się przed pozostałymi szesnastoma powiatami, że — na polecenie premiera — wszystkie rezerwy środków muszą przeznaczyć na porządkowanie Łomży. Wysiłki te widać do dziś, ale tylko na obu wylotach do Warszawy; wszak porządki robiono dla premiera, aby więcej po Łomży nie błądził.

Jak zatem przedstawia się stan naturalnego środowiska województwa łomżyńskiego dziś? Oczywiście, nie w subiektywnych odczuciach zwolenników starych lub nowych porządków, ale według obiektywnych i udokumentowanych badań inspekcji ochrony środowiska.

Najpierw o wodzie, bo to problem dla województwa (i nie tylko) najważniejszy. Otóż „wytwarza" ono i odprowadza do wód 10,8 milionów metrów sześciennych ścieków rocznie, spore jezioro; 81,7 proc. przed wprowadzeniem do wód jest oczyszczanych. Jesteśmy więc trochę mniejszymi od innych trucicieli, zważywszy fakt, że średnio w kraju czyści się 57,8 proc. ścieków.

Co z tego, powie przeciętny mieszkaniec Łomży, skoro nie tak jeszcze dawno, choć Łomża oczyszczalni ścieków nie miała, w Narwi kąpać się było można. Dziś nawet krowa zadem się do rzeki odwraca i pić nie chce.

Narew, do niedawna jedna z czystszych rzek w kraju, w oficjalnej klasyfikacji za rok bieżący otrzymała oznaczenie NON. Urzędowo oznacza to, że woda „nie odpowiada normom", czyli zawartość w niej zanieczyszczeń nie mieści się już w tabelach klasyfikacyjnych. Innymi słowy: Narew to już nie rzeka, lecz zwyczajny kanał ściekowy.

Ostatnio zostaliśmy zaalarmowani, że Narwią, w okolicach Wizny, płyną duże ilości martwych ryb. Natychmiast na rzekę wyruszyli inspektorzy Samodzielnej Pracowni Badań i Kontroli Środowiska. Trzeba było bowiem ustalić przyczyny i znaleźć winnych. Okazało się, że tym razem ryba płynęła z terenu województwa białostockiego. Jeszcze w tym samym dniu wojewoda łomżyński pisał do wojewody białostockiego: *„Niniejszym informuję, że od dnia 9 września 1982 r. rzeką Narwią płynie śnięta ryba z terenu województwa białostockiego. W dniu 14 września zjawisko przybrało już rozmiary katastrofy ekologicznej [...].*

Przy okazji pragnę poinformować, że już od dłuższego czasu stan zanieczyszczeń wód rzeki Narwi na odcinku od granicy z województwem białostockim aż po Łomżę, kwalifikuje ją jako pozaklasową [...].

Będę zobowiązany za pilne podjęcie skutecznych działań zmierzających do przyspieszenia wykonania urządzeń zabezpieczających wody rzeki Narwi przed systematycznym zanieczyszczaniem".

Wojewoda białostocki powołał komisję, która autorytatywnie stwierdziła, co następuje: *„Warunki do śnięcia ryb tworzą się w rz. Narew na odcinku od ujścia rzeki Supraśl w m. Złotoria, prowadzącej ścieki miejskie z Białegostoku, w dół rzeki do Tykocina i dalej. Przyczyną katastrofalnego śnięcia ryb (katastrofy ekologicznej) na tym odcinku Narwi jest nieustanny od wielu lat dopływ nie oczyszczonych ścieków miejskich i przemysłowych z Białegostoku, poprzez rzekę Supraśl. W rejonie Tykocina wskutek spiętrzenia wód Narwi przed jazem w Tykocinie tworzy się basen sendymentacyjny [...]* (wynik nie przemyślanego uregulowania rzeki — przyp. H. M.) *następują intensywne procesy gnilne, którym towarzyszy wytwarzanie metanu i siarkowodoru, toksycznego dla organizmów wodnych.*

Analiza prób wody pobranych w celu ustalenia zasięgu i przyczyn śnięcia ryb w rzece Narwi wykazała następujący stopień zanieczyszczenia rzeki w Tykocinie [...]. Dominują bakterie siarkowe, wiciowce bezbarwne, w plechach zgazowanego szlamu masowo występują kolonie sinic [...]. Zespół organizmów wskazuje na silne zanieczyszczenie substancją organiczną i występowanie siarkowodru [...]. Miano Coli 0,0001 (dopuszczalne dla Narwi 0,1 — przyp. H. M.). *Wyniki te wskazują na silne skażenie bakteriologiczne środowiska".*

Narew mamy zatem już załatwioną i wiele ścieków nią spłynie, zanim Białystok wybuduje oczyszczalnię ścieków i zaprzestanie wypuszczać codziennie 100 000 metrów sześciennych surowych ścieków. Na szczęście budowa oczyszczalni już się rozpoczęła.

Biebrza na terenie województwa łomżyńskiego nie otrzymuje zupełnie ścieków nie oczyszczonych. Grajewo ma bowiem najlepiej chyba w całym regionie uporządkowaną gospodarkę ściekową. Gdyby nie surowe ścieki z Ełku i Dąbrowy Białostockiej, Biebrza byłaby nadal rzeką bardzo czystą. Na razie jest jeszcze w III klasie czystości i swymi wodami poprawia sytuację Narwi. Budowa oczyszczalni w Ełku jest już daleko zaawansowana, a i w Dąbrowie Białostockiej poważnie myślą nad uporządkowaniem gospodarki ściekowej na stawach znajdujących się poniżej tego miasta. Z większych rzek pozostaje jeszcze stosunkowo czysta i okresami nadająca się do kąpieli — Pisa.

Nasi rodzimi producenci zanieczyszczeń wód czuliby się pokrzywdzeni, gdybym o nich nie wspomniał. Na ponad 200 kontroli gospodarki ściekowej, przeprowadzonych w 1981 roku, aż 48 proc. wykazało poważne przekroczenie normy przez zakłady. Za przekroczenie ładunku zanieczyszczeń o blisko 4,5 miliona kilogramów winnym naliczono kary na ponad 13 milionów złotych kar. Najwięcej do zapłacenia ma łomżyński potentat przemysłowy, ŁZPB „Narew". Oczywiście „za niewinność", bo Zakłady za zanieczyszczenie środowiska winne się nie czują. Według nich — zawiniły wyłącznie organy ochrony środowiska, które stawiają zbyt wygórowane wymagania. Decyzję o ustaleniu dopuszczalnego ładunku zanieczyszczeń w ściekach dyrekcja ŁZPB „Narew" zaskarżała aż do Naczelnego Sądu Administracyjnego. I wygrała, bo Sąd przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia i przesłuchania biegłego.

Jeżeli mieszkaniec Łomży, przechodząc mostem nad Narwią, spojrzy przypadkiem w dół i zaniepokoi się długą smugą białej piany na wodzie, niech pamięta, że są to właśnie „niewinne" ścieki z łomżyńskiej „Bawełny". Projektując zakład pomyślano i o detergentach; wybudowano urządzenia do oddzielania detergentów od ścieków. Cóż jednak z tego, skoro w tzw. międzyczasie kraj się wzbogacił i zaczął za granicą kupować nowocześniejsze detergenty, które na zainstalowanych maszynach, metodą wypieniania, oddzielać się nie dały. Teraz wróciliśmy do krajowych, ale urządzenia są już zdewastowane, a hala detergentowni służy za magazyn. Obsługa podczyszczalni zakładowej mogłaby czasem zaradzić nadmiernemu spływowi zanieczyszczeń do rzeki, ale o tym, co w danym dniu spłynie z zakładu, dowiaduje się dopiero z badań laboratoryjnych ścieków. Na przeciwdziałanie jest już za późno. Ogranicza się więc do redukowania nadmiernej zasadowości ścieków przez dolanie do nich kwasu siarkowego. Wynik: 6,9 miliona złotych kar za zanieczyszczenie wód za rok 1981!

Drugim winowajcą są Zakłady Ziemniaczane w Łomży. Gdy przed kilku laty oddawano do użytku zbiornik retencyjny na ścieki, cieszono się, że zakłady nareszcie przestaną zanieczyszczać wody. Zbiornik pękł, w zgromadzonych w nim ściekach (pół miliona metrów) utonął człowiek, winni otrzymali zasłużone wyroki i już w Zakładach nie pracują, ale one nadal zanieczyszczają Narew.

Otóż kierownika budowy kolektora odprowadzającego ścieki z Zakładów Ziemniaczanych na łąki w rejonie wsi Kupiski uczono na studiach, że kanalizacyjne rury kielichowe należy zawsze układać ze spadkiem, czyli kielichami w górę, aby płynące ścieki nie wybijały uszczelnień. Nauczono, więc układał, tylko że nie pomyślał, iż w tym przypadku ścieki mają być tłoczone i płynąć pod górę. Teraz, oczywiście, wybijają one uszczelnienia — bo inaczej być nie może — nawet dwa razy w tygodniu. Dyrekcja Zakładów staje przed alternatywą: zatrzymać produkcję na czas naprawy kolektora czy płacić kary. Wybiera to drugie, lojalnie uprzedzając inspekcję ochrony środowiska o zamiarze zrzutu ścieków bezpośrednio do Łomżyczki. Nowy kolektor tłoczny, tym razem z rur stalowych, ma być wkrótce oddany do użytku. Radykalna poprawa sytuacji nastąpi jednak pod koniec przyszłego roku, po od-

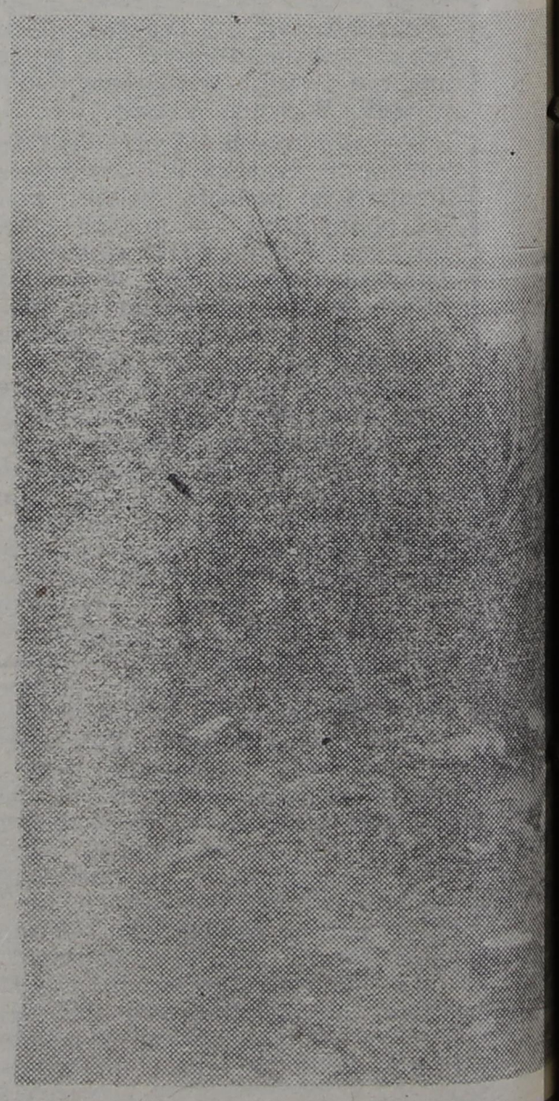

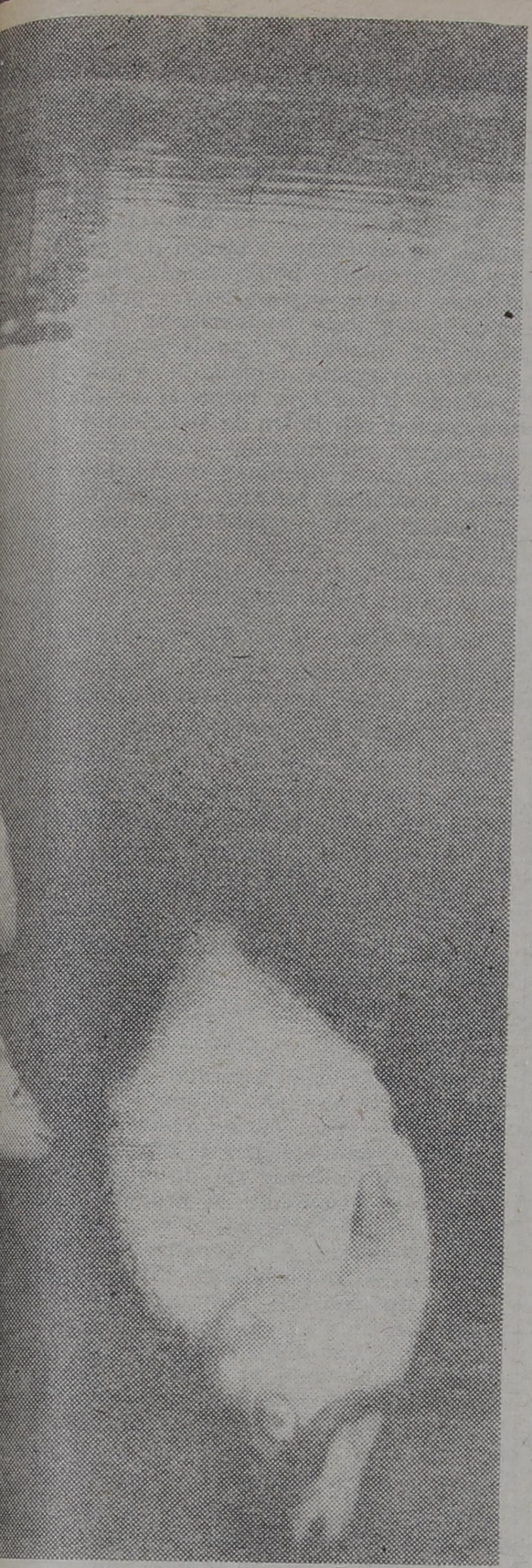

środowiska

wanie
ıry

budowie zniszczonego zbiornika retencyjnego.

Kolejnym niszczycielem wód jest mleczarstwo. Truje Narew Zakład w Piątnicy (ostatnia kara — 17.493 złotych na dobę), truje Kolno (w sierpniu br. było nawet 46.648 złotych na dobę), trują również zakłady w Mężeninie, Sokołach, Dąbrowie Kościelnej. Specyfika zakładów mleczarskich jest taka, że można tam wyeliminować nadmiar zanieczyszczeń, trzeba tylko chcieć, a tych szczerych chęci najczęściej brakuje. Dla przykładu: w Zakładzie kolneńskim wypuszczono do sprawnej oczyszczalni ścieków serwetkę pokazeinową. Nadmierne zakwaszenie spowodowało zniszczenie osadu w oczyszczalni i wyłączenie jej na dwa tygodnie.

Można by tak wyliczać dość długo, bo trzeba by wypunktować i — trwającą już chyba 14 lat — budowę urządzeń do przeróbki osadu w łomżyńskiej oczyszczalni ścieków, i zniszczenie nasypów oczyszczalni ścieków mleczarskich w Piątnicy, zanim obiekt rozpoczął pracę, i budowę masarni WSS-u w Zambrowie bez urządzeń oczyszczających, i wiele innych niedoróbek.

Przed kilkoma dniami prezes Łomżyńskich Zakładów Spożywczych zaproponował mi zwiedzenie, montowanej w zakładzie w Chojnach Starych przez polonijną firmę „International", oczyszczalnię typu „Bioblok" produkcji „Powogazu" w Poznaniu. Ma ona przed sobą dużą przyszłość. Za niewielkie pieniądze i w bardzo krótkim czasie można jednak uchronić wody przed zanieczyszczeniem! Wprawdzie „Bioblok" nie rozwiążą problemu wielkich aglomeracji miejskich i dużych zakładów przemysłowych, ale przecież i te małe, często nie doceniane, potrafią dość skutecznie zanieczyszczać środowisko.

Problemem nr 2 w województwie łomżyńskim jest ochrona środowiska przed odpadami, czyli przed tym, co razi oko przechodnia. Pod względem zaśmiecenia Łomża zdecydowanie przoduje wśród miast województwa łomżyńskiego. Czy kiedyś było lepiej? Na pewno tak, bo nie jest żadną tajemnicą, że im większe miasto, tym trudniej w nim utrzymać porządek, a i nakłady na jego utrzymanie nie wzrastają proporcjonalnie do rozwoju grodu. Ale nie to jest najważniejszą przyczyną zła; jest nią błędny system finansowania gospodarki komunalnej.

We wszystkich czystych miastach świata gospodarka komunalna finansowana jest bezpośrednio z ich budżetu. W Polsce już od kilkunastu lat jest inaczej. Gdy dziś przedsiębiorstwa przemysłowe biedzą się nad tym, jak gospodarować, aby mieć godziwy zysk, bo do reformy gospodarczej trzeba się przyzwyczaić, resort gospodarki komunalnej ma ten problem już dawno za sobą. Zamiatanie ulic, sadzenie kwiatów czy łatanie dziur w chodnikach musi się opłacić; oczywiście — tylko dla przedsiębiorstw gospodarki komunalnej. Przedsiębiorstwo oczyszczania miasta czyści jezdnię zamiatarką samochodową, bo to daje mu zysk, ale nie ma takiego mocnego, który zmusiłby je do ręcznego zamiatania chodnika, ponieważ na pracy sprzątaczki z miotłą zarobić nie można. Zakład zieleni miejskiej na wszystkich klombach i rabatach chętnie sadzi róże, bo sadzonki kosztują ponad 100 złotych, a na bratki po złotówce namówić się nie da. Gdy na ulicy zaczyna się robić dziura, nikt jej nie załata; trzeba tę dziurę komisyjnie zbadać, ująć do planu (oczywiście, na przyszły rok), a zabrać się do usuwania wtedy, gdy już ona „dojrzeje" i — zamiast kilku centymetrów — ma kilka metrów. No bo komu opłaci się ściągać sprzęt na jakąś tam groszową naprawę?

Jeszcze nie tak dawno, kilkanaście lat temu, miasta miały swoje służby komunalne, opłacane z własnego budżetu. Nikt wówczas nie rozliczał ich z osiągniętego zysku, a jedynie z efektów i to z efektów w pełni subiektywnych. Przewodniczący miejskiej rady narodowej chwalił lub ganił kierownika zakładu oczyszczania za to, co zobaczył na mieście idąc do pracy. I było dobrze. Teraz, gdy przed jakąś uroczystością koń nabrudził na dojściu do stadionu w Łomży i ktoś prezydentowi miasta zwrócił na to uwagę (fakt autentyczny sprzed kilku lat), naskoczył on na dyrektora zakładów gospodarki komunalnej: — Dlaczego nie sprzątnęliście dojścia do stadionu?

— Przepraszam bardzo — odparował dyrektor — ale nie ma tego w umowie i darmo sprzątać nie będziemy. Jeżeli pan prezydent życzy sobie sprzątnięcia, to proszę o zleconko.

Koncepcja przestawienia gospodarki komunalnej z budżetu na rozrachunek gospodarczy przedsiębiorstw

narodziła się w latach siedemdziesiątych w umysłach ekonomistów z byłych zjednoczeń gospodarki komunalnej. W gospodarce tej obowiązywały wówczas cztery tabele płac, bardzo się od siebie różniące. Zakwalifikowanie do wyższej tabeli zależało od wielkości przerobu. Wszystkie małe zakładziki miejskie opłacane były z tabeli pierwszej, tej najniższej. Gdy więc specjaliści ze zjednoczenia zaproponowali załogom służb miejskich przejście na rozrachunek i (automatycznie) do wyższej o jedną czwartą tabeli płac — znaleźli poparcie załóg.

Czy władzie miejskie nie widziały wówczas zła, jakie kryje się za tą reorganizacją? Na pewno widziały i nawet próbowały przeciwdziałać. Na kark opornego przewodniczącego zjeżdżali jednak kontrolerzy finansowi ze zjednoczenia i dotąd badali gospodarkę finansową, aż uzyskali zgodę na reorganizację. No i mamy w gospodarce komunalnej nową, wyższą formę rozrachunku, tyle że porządku w miastach nie ma komu robić.

HENRYK MILEWSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Ośrodek WZKiOR-u w Czartorii wykorzystany jest najwyżej przez dwa miesiące w roku. Dramatyczny problem braku domów pomocy społecznej w województwie skłonił więc władze do grzecznej prośby o odpłatne przekazanie przez Związek ośrodka na ten właśnie cel. Sprawa wałkowana miesiącami legła pokotem wobec twardej odmowy, przesłanej przez prezesa, który — by wyglądało demokratycznie — podparł się argumentem o negatywnym stanowisku Rady WZKiOR-u, a nawet centrali. Gdy usłyszał o tym przewodniczący Rady, nie potrafił ukryć zdziwienia: „Pierwszy raz o tym słyszę". I wyraził stanowisko zupełnie odmienne. Czas, by prezes uświadomił sobie, że nie jest w cyrku, a niedźwiedź, tańczący do niedawna na świst jego bata, nie pożarł go jeszcze tylko dlatego, że — jak wiadomo — „nieświeżych nie jada".

— ◇ —

Na spotkaniu w Łomży wybitny dyskutant — szpenio od budownictwa — wskazał wreszcie realną drogę wyjścia z budowlanego impasu, czyli urzeczywistnienia idei szklanych domów: „Trzeba przygotować temat z zasadami dobrego przygotowania"! No, nie wstyd wam, Żeromski?

— ◇ —

Aby załatwić w Łomżyńskiem potrzebę fizjologiczną niezbędne są dwie rzeczy: stodoła i kij, na którym wiesza się marynarkę. Tymczasem w restauracji „Kasztelańska" w Czyżewie wzniesiono w latach błędów ubikację obłożoną terakotą. W tym kontekście długo rozbudzała ona niezdrowe aspiracje, na które teraz brakuje pokrycia, z czego bierze się rozgoryczenie społeczne. Na szczęście od pewnego czasu trwa stopniowa derewaloryzacja szaletu: odpada płytka, tłucze się — już zjawia się ekipa i klajstruje dziurę betonem. Beton jest aspiracją z realną perspektywą i społeczeństwo w przyszłości może do niego dojść nawet we własnych domach.

— ◇ —

Na naradzie naczelników wojewoda lekko objechał jednego z nich. Po sali natychmiast poszedł szmerek: „Potraktował go jak smarkacza", „Komu to służy" itp. Dotąd ślina ściekała niektórym tylko na krytykę prasową. Więc to już odruch?

— ◇ —

Z oburzeniem interweniuje młoda matka z Piątnicy: „Kupuję w »Bobasie« śpiochy, płacę 86 złotych; za kilka dni kosztują już (bez metki) złotych dwieście. Płacę za sweterek dwie setki, za tydzień za ten sam sweterek sprzedawczynie żądają 500 złotych, w dodatku towar też jest bez metki". I młoda matka wykrzykuje, że to spekulacja. Młody wiek tłumaczy dużo, ale tego już za wiele! Kto chciał wykupić z państwowego sklepu śpiochy? Kto chciał zniszczyć rynek wykupem sweterków? A kto zdrową ceną uratował równowagę na półkach? Dziękujemy Wam, Drogie Panie z „Bobasa".

P.S. A jakby rzucili śpiochy, te po 86, i sweterki, z tych po 200 — bardzo prosimy, telefonik grzecznościowy 42-71 w. 244).

— ◇ —

Do siedziby Służby Rolnej w Śniadowie wiodą drzwi okute blachą, za to bez klamki i zamka. Gdyby wstawić to ostatnie urządzenie — byłoby całkiem właściwe miejsce. Właściwi ludzie, jak widać, w gminie już są.

LISTY ZZA RZEKI

cisza przed burzą

HENRYK GAŁA

Szanowny Panie Stanisławie. Ludzie przycichli jakoś i czekają. Nie tylko u nas, za rzeką, ale i w Pańskiej Łomży, i w Warszawie. Różne widzę powody topograficzne tego stanu rzeczy i jeden, domyślam się, wspólny.

U nas jest to niedowierzanie, iżby jakiekolwiek kataklizmy mogły nie spaść na polską ziemię, a przynajmniej na naszą okolicę. Miało być mokre lato, jak przebąkiwali ludzie, takie, że ani siana, ani zboża nie dałoby się zebrać, a tu susza i plony dość obfite w stodołach i stogach. Gadali: zmarnieją okopowe i nie będzie czym karmić trzody. Cukru nie użyjemy, owoców, także warzyw. I znowu krakanie się nie sprawdziło. Ziemniaczki, owszem, słabe, ale nie ma klęski, chyba że urodzaju — jabłek, a jeśli idzie o pomidory, na przykład, to znam plantatora, który z pół hektara wyciągnął za nie ponad 700 tysięcy. Teraz u niego jest klęska — ze złotówkami; nie ma co za nie kupić. Czarnowidze zaczynali się już cieszyć, że wysuszonej ziemi nie można uprawiać i siać ozimin, ale przyszło kilka dni spokojnego deszczu i proroctwo diabli wzięli. A jednak coś musi się zdarzyć — powiadają ludzie i wierzą, że klęska została tylko odroczona. Póki co jednak pracują spokojnie i ciężko.

Czasem tylko z niepokojem myślą o mieście, tym źródle wszelkiego zła, bo w nim, zamiast pracować, wymyśla się idee, jak wieś wykorzystać, i dzieją się wydarzenia niezbyt zrozumiałe, choćby przez to, że z góry skazane są na niepowodzenie. Ale miasto to także źródło dóbr — maszyn, traktorów, samochodów, ubrań, lepszego jedzenia. I ta rozterka w ocenie miasta jest powodem drugim przycichnięcia.

W Łomży zaś cała prawie energia ludzi skierowana jest na jak najlepsze wymoszczenie własnego bunkra na zimę. Głównie przez obowiązkowe dostawy z rodzinnych lub znajomych wsi. Niby to odwiedziny, niby przejażdżka, a przy okazji złapie się woreczek kartofli, pół bagażnika jabłek, skrzynkę kapusty lub wybada termin świniobójstwa. Obserwuję też symptomatyczną zmianę obyczaju odwiedzin. Jeszcze kilka lat temu w jesienne niedziele zjeżdżały do Łomży furmanki. Wieś zaopatrywała nimi swoich świeżo upieczonych mieszczuchów. Dzisiaj już się prawie koni nie widzi; zastąpiły je żuki, nysy, no i traktory. Tak, w odwiedziny traktorem! Często „osobowym", czyli bez przyczepki. Kierowca i dwie osoby się zmieszczą w kabinie, a pod nogi wejdzie woreczek, skrzynka czy choćby torba z dobrami sielskimi.

Teraz szerzy się proroctwo ciężkiej zimy, więc rozumiem doskonale tych chomikujących ludzi, zwłaszcza że handel miejski nie budzi większych nadziei.

Warszawa natomiast liczy i coraz częściej ludziom wychodzi, że nie starcza na życie. Myślę o większości; nie o bogatym lub bogacącym się marginesie, lecz o tych, którzy mają jedną czy dwie pensje i nic ponadto: ani zasobów, ani możliwości dorobienia, ani rodziny na wsi, która by poratowała. Ilu jest takich ludzi w wielkich miastach? Czy posłuchają rad ministra Krasińskiego, który w telewizorze, udając Marię Antoninę (w roku 1789, na wieść o tym, że lud się burzy, bo nie ma chleba, zdziwiła się i powiedziała: *„Niech więc jedzą ciasteczka, tak jak ja"*), orzekł, że należy oszczędniej wydawać na żywność, choć pytający go robotnik wyliczył miesięczne rozchody przy prawdziwie dietetycznym *menu*. Czy rzeczywiście nie dałoby się tych, obdzierających nas do siódmej skóry, państwowych producentów i handlu ukrócić? Wstyd poza tym, aby sektory, na których zasadza się charakter naszego porządku społecznego i politycznego, znajdowały się na wspomnianym przeze mnie marginesie paskarstwa. I to spokojne, rozważne liczenie jest tylko zawieszeniem niepokoju o niepodległe jutro, tym bardziej że nie wiadomo, kiedy dotrą do świadomości naszych reformistów głosy (coraz częstsze, na szczęście) o biurokratycznej blokadzie reformy: — Na ilu niepotrzebnych urzędników mogę zapracować — pytają ludzie z produkcji. — Ile z tego musi iść na długi, a co dla mnie zostanie?

To jest także głos z Warszawy, ale nie słychać go nigdzie. W łomżyńskim GS-ie, przy kupowaniu rolki papy (podrożała czterokrotnie) widziałem pana obsługiwanego przez panią z fakturowania, panią, do której należy tylko rejestrowanie kwitka, wreszcie — kasjerkę; no i, oczywiście, magazyniera z trzema pomocnikami. Dwie osoby — jedna „od papierków", druga „od materiałów" — wystarczą aż nadto, bo pakować, ładować, biegać i tak trzeba samemu.

Wspólny, nieuświadamiany powód uspokojenia ma charakter międzynarodowy. Trwa cisza przed burzą. Szukamy podobieństw i zaprzeczeń w historii. Łudzimy się, że może jeszcze tym razem nie. A którym razem — tak? Cichniemy więc bardziej. Przez blisko czterdzieści lat burze chodziły po bokach. Biała Europa odpoczywała. Kilkakrotnie udało nam się odrzucić poza nasz dom zapalający ładunek, rzucony na dach. Jak długo jednak można. Musimy to sobie i innym uświadomić z całą, racjonalną, bezwzględną jasnością.

Rys. JAN KURNICKI

kalkulatory w sercu kniei

Gdzieś pod koniec ubiegłego roku, ale jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego, wypadło mi odwiedzić „Knieję" nad Jeziorem Rajgrodzkim, ośrodek wczasowy Banku Gospodarki Żywnościowej, okazałe gmaszysko z elewacją wykładaną marmurem, jak przystało na instytucję, która odegrała niepoślednią rolę w minionej epoce propagandy sukcesu. Gdybym mógł, odebrałbym uprawnienia projektowe architektowi, który te marmury w sercu kniei, jak sama nazwa wskazuje, zaprojektował, ale nie mogę, więc nie ma o czym mówić. Zresztą może zupełnie niesłusznie napadam na architekta. Dyrektor Oddziału Wojewdzkiego BGŻ-u, inż. Stanisław Radziszewski, przekonuje czytelników „Kontaktów" (nr 27 z 3 padziernika 1982 r.), że elewacja z kamienia jest tańsza od tradycyjnej, i proponuje opracowanie kalkulacji. Dziękuję, nie skorzystam, bo nie chcę stracić resztki zaufania, jakim wciąż jeszcze obdarzam tę szacowną instytucję, jaką jest Bank.

Nie o tym jednak chciałem pisać. Wchodzimy w okres szerokich reform, przedsiębiorstwa przechodzą na system trzech „S", a dowcipni mówią o czwartym. To czwarte „S" — splajtowanie — może zaproponować Bank, gdy przedsiębiorstwo nie wyrobi się z trzech pierwszych. Ostatnie słowo należy do Banku, więc nie będę dyskutował z dyrektorem Radziszewskim, co się opłaci, a co nie.

— Nie, to żadna nowa instancja, lecz PKS pracuje nad poprawieniem rozkładu jazdy, który ma obowiązywać od przyszłego roku. Siedzą tu już drugi tydzień i nie wiem, ile jeszcze posiedzą. Obowiązują nas trzy „S", więc wynajmujemy ośrodek poza sezonem wczasowym każdej chętnej instytucji — wyjaśnił mi kierownik.

Wszyscy narzekają na kiepskie rozkłady jazdy PKS-u, więc może tu, w ciszy leśnej, narodzi się coś rozsądnego — pomyślałem z nadzieją. Zresztą pożyjemy, zobaczymy. Przeżywamy kryzys paliwowy, więc dobre ułożenie rozkładów jazdy jest rzeczą niezmiernie ważną. Przypomniały mi się dwa znane prawa, wbijane kiedyś do głowy na wykładach z organizacji zarządzania — Finaglesa: *„Jeżeli jakaś praca jest dostatecznie sknocona — wszystkie usiłowania poprawienia jej robią ją jeszcze gorszą"*, i Rudina: *W sytuacji kryzysowej, kiedy trzeba wybierać między różnymi alternatywami, większość ludzi wybiera rozwiązanie najgorsze"* — ale odrzuciłem je, jako że pesymistą nie jestem.

Całe tamto wydarzenie przypomniało mi się któregoś dnia, gdy chciałem jechać do Olsztyna. W kasie biletowej na dworcu PKS-u w Łomży poinformowano mnie, że kursowanie autobusów na trasie Łomża —Olsztyn zostało odwołane.

— Dlaczego, przecież było to jedyne połączenie między tymi miastami wojewódzkimi? — próbowałem wydobyć z kasjera.

— Otrzymaliśmy takie zarządzenie, że wszystkie kursy PKS-u dłuższe niż 150 kilometrów należy zawiesić, więc zawiesiliśmy — otrzymałem odpowiedź.

— Według mapy samochodowej, z Łomży do Olsztyna jest tylko 149 kilometrów — próbowałem oponować. Nie wiedziałem, że PKS ma swoje miary. Oni liczą według licznika; w każdym mieście autobus zbacza nieco na przystanek, no i wypada powyżej 150. A zarządzenie rzecz święta i wyjątków nie przewiduje.

No, tak. Mrówcza praca tej setki speców od rozkładów jazdy tam w „Kniei" nie poszła na marne — pomyślałem. Gdyby pracowali nad poprawianiem rozkładów jazdy gdzieś w dużym mieście, nie poszłoby tak gładko. Ktoś spóźniłby się na autobus, ktoś inny nie złapałby połączenia i myślenie byłoby zakłócone. W „Kniei" nie istniały tak przyziemne kłopoty komunikacyjne i można było pracować spokojnie.

Życie ma to do siebie, że nie chce tak łatwo poddać się zarządzeniom, choćby wymyślono je w najbardziej komfortowych warunkach. Na głowy pracowników PKS-u — oczywiście, nie tych od zarządzeń i rozkładów, ale tych od ruchu i obsługi pasażerów — posypały się gromy. Zaczęto myśleć, jak umożliwić mieszkańcom Białegostoku dojazd do Olsztyna i... wymyślono. Trasy autobusów troszeczkę zmieniono i wszystko zagrało. Teraz, zamiast z Białegostoku przez Łomżę do Olsztyna, kursują z Białegostoku do Nowogrodu i z Olsztyna do Nowogrodu. W Nowogrodzie następuje spotkanie i wymiana pasażerów. Bilety kupuje się na całą trasę. A co z tego mają mieszkańcy Łomży? No, jakże? Przecież Nowogród znajduje się na terenie województwa łomżyńskiego, więc w czym problem!

Inny autobus kursuje z Zambrowa do Szczytna, na szczęście — przez Łomżę. Jeżeli nie zostanie po drodze zapełniony, to mieszkaniec Łomży może dojechać do Szczytna, tam przesiąść w inny (albo w pociąg) i jechać do Olsztyna.

Ktoś powie, że to przecież nie ma sensu: bo czy przejazd łamanym kursem jest choć odrobinę tańszy? Czy w ten sposób PKS zaoszczędzi choć kroplę paliwa? Oczywiście, nie. Ale przecież zarządzenia są wydawane nie po to, aby uprzyjemniać komuś życie. One są po to, aby je przestrzegać! Albo omijać!

Czy nie prościej byłoby głupie zarządzenia zwyczajnie wrzucić do kosza, a ich autorom poszukać innego zajęcia? Myślenie ma kolosalną przyszłość, ale nie zmuszajmy do niego ludzi, którzy myśleć nie chcą lub nie umieją.

PASAŻER

Gdy tak siedziałem w wyściełanym miękkimi dywanami hallu ośrodka i czekałem na kierownika, który podobno wyjechał do Grajewa bronić się przed zarządzoną przez naczelnika Luto eksmisją z drugiego mieszkania w tym mieście, uwagę moją zwróciło to, co działo się za oszklonymi drzwiami sali z napisem „Jadalnia". Otóż wszystkie stoliki założone były stosami jakichś ksiąg i skoroszytów oraz wielkich plansz zapełnionych cyferkami. Ponad setka mężczyzn i kobiet z kalkulatorami w dłoniach biedziła się nad tymi papierzyskami. Czyżby jakieś nowe biuro ukryło się tu, z dala od kłopotów codziennego miejskiego życia?

felieton

o przystojności i jej zaletach w pożyciu towarzyskim

Jak wymagania świata, tak i miłe sposoby podobania się mu i zyskania jego przychylności wrodzone są człowiekowi i zasadzają się na pierwszej ewangielickiej cnocie, na miłości bliźniego. Dobrze powiedziano, że prawdziwa przystojność w obyczajach z serca pochodzi. Człowiek prawdziwie grzeczny stara się wszystkim podobać i każdemu być użytecznem; dla okazania się takim wiele jest gotów uczynić i wiele ponieść ofiar.

Przystojność więc (tak tu zwać będziemy piękne obyczajowe ułożenie człowieka) jest szczęśliwym połączeniem moralności z wdziękiem; z tego to podwójnego stanowiska uważając ją i taką brać za towarzyszkę wszelkich, równie najpoważniejszych spraw, jak i błahych uciech życia, należy [...].

[...] zwyczaj światowy jest tylko odblaskiem, albo raczej przekrzywionem naśladowaniem przystojności, albowiem zamiast opierać się, jak ona, na szczerości, skromności i chęci zobowiązania sobie ludzi, pozwala nie zważać na nic, żartować równie z uczuć, śmieszności, wad i z cnót bliźniego, byle żartować zręcznie, dowcipnie i bez obrażenia czyjejkolwiek miłości własnej [...].

Przystojności to, jej sprawiedliwym i miłym względom winniśmy cały urok, rzekłbym nawet całą możność towarzyskiego pożycia. Ona to będąc przyczyną i skutkiem cywilizacji, włada wielką dźwignią rozumu ludzkiego, jego miłością własną i żądzą podobania się, ona je uszlachetnia i skazić się im nie pozwala.

Pożółkłe strony poradników dobrego zachowania się, przepisy bon tonu, to także świadek minionych epok, źródło poznania mentalności pradziadów, określenia zagrożeń, przed którymi nasi antenaci chcieli ustrzec siebie i swe dzieci, ale także — pułapu ich marzeń, rejestru nawyków, cnót i przywar. Po dziesięcioleciach śmieszą niektóre słowa i zwroty, zmieniły się przecież warunki życia, wyjaśniło wiele tajemnic; odkryto, przeanalizowano, zaprogramowano... Swiat szybko goni naprzód, a przecież dobry interes robią autorzy horoskopów, sławą cieszą się cudowni uzdrowiciele; my zaś unikamy trzynastek i czarnych kotów, przebiegających drogę. Jak dawniej — ukazują się nadal książki propagujące znajomość zwyczajów i form towarzyskich; one też w przyszłości będą źródłem dla historyka, okazją do refleksji nad życiem tych dziwnych ludzików z lat osiemdziesiątych XX wieku.

Póki co, nie marnujmy i my okazji. Oto w 1843 r. w Warszawie ukazał się tomik o przydługim tytule: „Wychowaniec dziewiętnastego wieku, czyli przepisy przystojności i dobrego tonu w pożyciu towarzyskim. Zebrał i według najlepszych wzorów francuskich ułożył Paweł Eustachy Leśniewski". Autor urodził się 12 stycznia pamiętnego 1794 r. w Cieciorkach, wsi położonej na terenie powiatu łomżyńskiego. Jeśli w Łomżyńskiem, to nie może dziwić, że rodzice Pawła pochodzili z drobnej szlachty, społeczności niezbyt majętnej, ale szanującej narodowe tradycje, dbałej o honor. Wdział Leśniewski zrazu habit pijarski, potem próbował kolejno sił jako nauczyciel, gospodarz, redaktor „Pamiętnika Rolniczo-Technologicznego" i „Kmiotka", rachmistrz w administracji rządowej. Po 1833 r., osiedlony już w Warszawie, najwięcej czasu poświęcał pisaniu. Spod jego pióra wyszły przekłady głośnych ongiś powieści (w tym i dzieło Eugéne Suego: „Żyd wieczny tułacz"), oryginalne traktaty, sporo kompilacyjnych podręczników, mrowie artykułów.

Miejsce szczególne w jego dorobku zajął anonsowany tomik sprzed prawie 140 lat. Z niego proponujemy garść wypisów — ku rozweseleniu, wzbogaceniu wiedzy o epoce międzypowstaniowej, ale i znalezieniu odpowiedzi na pytanie: jak dalece w ciągu kilku pokoleń zmieniła się mentalność osobników znad Narwi, Wisły, Bugu.

jak zostać człowiekiem przystojnym

I. O PRZYSTOJNOSCI W OBOWIĄZKACH WZGLĘDEM RELIGII

O uszanowaniu kościołów

Jeżeli wchodzisz w Towarzystwie niewiasty, zaprowadź ją na miejsce, usiądź przy niej lub odejdź, gdy ustanowiony w kościele porządek obydwom płciom znajdować się pospołu nie dozwala. Nie uwijaj się tu i ówdzie dla wyszukania miejsca dla swej towarzyszki, nie proś o nie natrętnie, bo taki postępek uprzykrzony jest i oznacza niedelikatność nawet u płci żeńskiej; przyzwoiciej jest stać skromnie, gdy się nie usuwa osoba, przy której znaleźćby się mogło miejsce i nie daje znaku do jego zajęcia. Cisnący się gwałtem do ławki, śmiało szukający oczyma po kościele dają znać, że oni nie są pobożni, ani dobrze wychowani.

Wszakże wyznać musimy, że przykro jest widzieć bezbożnych, zachowujących się w kościele i domu bożym gorzej, jak na wystawie sztuk, zajętych sobą i swym ubiorem, nieskromnych, niepowściągliwych, rozpustnych aż do tego stopnia, że śmią ciekawie zaglądać innym w oczy, przesyłać uśmiechy i zachodzić drogę przed drzwiami kościoła! Są to ludzie, krom sukni, bez osobistej godności i bez wychowania; milsi od innych prostaczkowie w siermiędze na modlitwę przychodzący.

III. O PRZYSTOJNEM ZACHOWANIU SIĘ WZGLĘDEM RODZICÓW, KREWNYCH I POWINOWATYCH

Prawdziwa miłość cała poświęca się dla ukochanego przedmiotu. Tylko źle wychowane, złe dzieci przykrzą sobie troskliwość o ciągłe podobanie się i zdaje się im, że przez to pozbawiliby się przyjemności i wygód życia. Tacy to niedbale się ubierają, nieskromnie rozpierają się po kanapach i krzesłach, proszą tonem rozkazującem, odbierają bez podziękowania, rządzą się humorem i nieznośnemi się stają dla osób, z któremi znaczną część życia przepędzić mają. Biada dzieciom, którym się przykrzy dom rodzicielski, biada i tym, którzy nie starają się umilić im tego schronienia.

Jeżeli żyjesz w oddaleniu od rodziców, pisuj do nich często i staraj się, aby twoje pismo nosiło zawsze piętno synowskiej miłości, aby żywo malowało uczucia, którem jesteś dla rodziców przejęty.

Dziadek, babka, stryj i stryjenka, wuj i ciotka tegoż samego co rodzice wymagają od ciebie uszanowania, tym samem mów do nich tonem. Po nich następują stryjeczni, wujeczni i cioteczni bracia i siostry, bądź równo dla wszystkich uprzejmem i względnem [...].

III. O PRZYSTOJNEM ZACHOWANIU SIĘ WZGLĘDEM SIEBIE MAŁŻONKÓW

Nic bardziej nie czyni grzeczności śmieszną, a nawet pogardy godną, jak humor owych osób, co to umiarkowane i miłe w towarzystwie, pokazują się przykremi, popędliwemi i rubasznemi w swym domu. Jest to bardzo wielka wada umysłu [...]. Lepiej może tylko gdybyż zawsze i wszędzie pozostała [taka osoba] dziką, upartą, bo sprzeczność między towarzysko-salonową grzecznością a domową niesfornością bardziej jeszcze uderza i razi.

Jeżeli czasem przykrzy ci się rozmowa twojej żony lub męża, nie mów mu o tem, ani nawet daj to poznać nagłym jej przerwaniem lub zmianą tonu. W każdem sporze czuwaj pilnie nad sobą, strzeż się, aby małżeńska poufność nie zamieniła sporu w kłótnię. Jedyny sposób ukończenia sporu jest zimno i poważnie odpowiadać i ściśle trzymać się przedmiotu rozmowy, a wreszcie grzecznie ustąpić, gdy się przeciwna strona zagniewa i unosić zaczyna; przyzna ona słuszność jak ostygnie.

[...] unikać jak trucizny wszelkich oznak niechęci, oziębłości, podejrzliwości i przygan; prosić natychmiast o przebaczenie, gdy ci się zdarzy unieść gniewem.

IV. O PRZYSTOJNOSCI W OBCHODZENIU SIĘ ZE SŁUGAMI

Nie łaj ludzi za mimowolne ich błędy, daruj im niezgrabność i nie miej tak kosztownych sprzętów, iżby ich strata nabawiać cię miała dotkliwego zmartwienia. Jeżeliby zaś przypadek lub twój gust uczynił cię panem drogiego sprzętu i mógłbyś być narażonem na przykrość postradania go przez niezręczność sługi, lepiej gdy sam będziesz miał o nim staranie.

[...] czytania [romansów] w swym przedpokoju nigdy nie dozwalaj. Jeżeli sam masz upodobania w tej bezużytecznej, a częstokroć szkodliwej rozrywce, chowaj dobrze takie książki, zabierają one czas i zaszczepiają wstręt do ręcznych robót, które udziałem być mają służących.

V. O OSOBISTEJ PRZYSTOJNOŚCI

O ubiorze mężczyzn

Przyzwyczajaj się do umywania codzień twarzy i rąk zimną wodą, bierz w tydzień cała, w niebardzo ciepłej wodzie kąpiel a przynajmniej umywaj nogi; ale jak najmniej łóż na to czasu. Nie przystoi i mianowicie młodym panom bawić długo w wannie. Utrzymuj ochędożnie usta i zęby, ale ostrożnie używaj zachwalanych ku temu środków, bo kwasy i ostre proszki w ogólności są szkodliwe.

Na ranne i wśród dnia odwiedziny udać się może mężczyzna w ubiorze, który zwykle nosi u siebie, to jest we fraku lub tużurku, jakiegobądź koloru. Lecz odwiedziny z obowiązku, przyzwoitości, czyli odwiedziny ceremonialne, wieczorne wymagają staranniejszego ubioru. W ciemnym kolorze fraki, pantalony, szczególnie czarne (w tymże kolorze i tużurek, byle nie do tańca), świeża, nie jaskrawego koloru kamizelka, czysta, cienka bielizna, nowy kapelusz, zgrabne i chędogie buty, piękny zegarek z jednym tylko kosztownym kluczykiem — stanowią ubiór z gustem i dobrym tonem mężczyzny.

O ubiorze niewiast

Skoro wstaniesz, włóż gorset albo lepiej jeszcze półgorsecik, czyli leniuszek, zachowując gorset do zupełnego ubrania się. Ale ani pierwszego, ani drugiego mocno nie ściskaj. Niejednostajna cera twarzy, czerwony nos, ból żołądka i wiele innych dolegliwości są pamiątkami zbytniego ściskania się. Chęć posiadania cienkiej, zgrabnej figurki stała się manią u wielu kobiet. Zdarzały się takie, co wycierpiawszy tę mękę umarły, ale umarły pocieszone sławą swej zgrabnej kibici.

Najmocniej naglący interes nie wywiedzie porządnej kobiety do innych ludzi w rannym ubiorze, z zawiniętemi papilotami, bo to tak nie przystoi, jak mężczyźnie wystąpić w szlafroku. Wizyty ranne odbywa się w starannym, ale prostym ubiorze (negliżu).

Ubieraj się więc i strój, ale przyzwoicie i z gustem, zmieniaj swoją garderobę jak możesz, aby pustacy uszczypliwi i żartownisie, których zawsze pełno na świecie, nie wzięli cię za przedmiot swych igraszek.

Pokój zacnej kobiety nie ma przypominać owych kościołów pogańskich, w których kapłani pokazywali przychodniom ofiary, aby ci pomnażali ich liczbę.

(cdn.)

Podał ADAM Dobroński

Reprod. WOJCIECH SURAWSKI

obyczaje

pamiętnik nastolatka

moja miłość szalona

czyli świat dawnych lat

15 września 1918 r.

Tatuś zapisał mnie do III kl. prywatnego gimnazjum koedukacyjnego. Dziś z ochotą pobiegłam do szkoły po raz pierwszy. Moja klasa to duża, ponura sala. Stoją w niej dwa rzędy długich ławek z powyrzynanymi nazwiskami i sercami. Prawie wszystkie miejsca są zajęte. Siedzę między Sabiną a Todzią, one wyglądają już na dorosłe panny. Niedaleko mnie siedzi Kazik M. Jest bardzo ładny. Na lekcjach się rozpiera, ironicznie uśmiecha i robi mądre miny. Od czasu do czasu spogląda na mnie i robi perskie oko. Tatuś mój powiedział, że 80 proc. to uczniowie przerośnięci wskutek wojny.

Koniec września 1918 r.

Geografii uczy nas p. Wroński. Sabina opowiedziała mi, że był na wojnie, walczył w Karpatach i bardzo odmroził sobie stopy. One czasem bardzo go swędzą, wtedy bije się po butach pejczem, który nosi zawsze przy sobie.

Na lekcjach się nie nudzę, gdyż Sabina opowiada o bardzo ciekawych rzeczach.

— Wiesz — mówiła dzisiaj — że Wroński jest kawalerem?

— To co?

— No, przecież Wroński jest mężczyzną, a mężczyźni potrzebują mieć kobiety. Wiesz, co on robi?

— Nie wiem.

— Ale ty jesteś głupie dziecko.

— No, mów.

— On umawia się z takimi, wiesz, publicznymi dziewczynami.

— Co to znaczy? — zainteresowałam się.

— To są takie, co bardzo lubią chłopów.

— Ja też lubię chłopów, jak na rynku sprzedają kartofle, śliwki, jabłka, a chłopki sprzedają masło, jajka i kury, gęsi.

Październik 1918 r.

W szkole brak opału, jest mi bardzo zimno. Mam katar, na nosie wyskoczyła mi duża febra. Mamusia kupiła szary duży golf, bardzo ciepły, ale ja go strasznie nie lubię. Wiem, że po wojnie wszystkim jest bardzo ciężko, ale ten golf jest wstrętny. Todzia mówiła, że jej mama ufarbowała prześcieradło na granatowo i uszyła jej sukienkę do szkoły.

Pan Wroński jest bardzo wymagający. Przynosi zawsze na geografię dużą mapę Polski, którą ktoś z mieszkańców miasta ofiarował szkole. Tatuś mówi, że to jedyna pomoc naukowa, jaką posiada szkoła. Najlepszą uczennicą z geografii jest Todzia, ma same 5. Ja tylko raz dostałam 4, za drugim razem nie dość szybko pokazałam na mapie dopływ Wisły, więc dostałam 3.

— Jak ty się uczysz, że masz same piątki? — spytałam dziś Todzię.

— Ja się wcale nie uczę, jakoś mi tak samo idzie; nie lubię wkuwać.

— No — pomyślałam — ja też tak zrobię i też polecą mi same piątki.

Nazajutrz jednak tatuś rozwiał moje marzenia o darmowych piątkach: — Pan Wroński powiedział mi, że opuściłaś się z geografii. Grozi ci dwójka. Idź dzisiaj po południu do szkoły, wasza klasa będzie otwarta. powtórz ostatnie lekcje i pokazuj, co trzeba, na mapie.

Bardzo chętnie pobiegłam do szkoły. Cicho podeszłam do drzwi kl. III, które były uchylone. Usłyszałam czyjeś kroki i głos: — Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Biała, Wisłoka, San, Wieprz, Bug z Narwią, Wkra, Drwęca, to prawe dopływy Wisły. Lewe: Nida, Czarna, Kamienna, Pilica, Bzura, Noteć, Brda, Wda, Radunia.

To był głos Todzi, która „nigdy się nie uczy".

11 listopada 1918 r.

Siedzieliśmy w klasie czekając na nauczyciela, gdy wkroczył p. Wroński. Był blady.

— Natychmiast ubierajcie się i szybko idźcie do domu. Starsza młodzież niech zaopiekuje się młodszymi. Powtarzam: idźcie szybko do domu. Może być strzelanina. Ja udaję się na zbiórkę do POW, nie mogę być z wami — zrobił wojskowy zwrot i wybiegł z klasy.

Chciałam posłusznie iść do domu, ale Todzia i Sabina krzyknęły: — Głupia, nie potrzebujemy tak bardzo słuchać nauczyciela. Chodźmy zobaczyć, co się dzieje tu i tam.

Kazik wypadł pędem z klasy. Książki związane rzemykiem rzucił woźnemu i krzyknął do chłopaków: — Chodźmy rozbrajać Niemców! Za mną, chłopaki, w stronę stacji!

Szłam z Todzią i Sabiną. Przeszłyśmy obok poczty (w tym budynku właśnie mieszkam) i udałyśmy się w alejki. Było pusto. Sabina usiadła na ławce. Wszystkie patrzyłyśmy w kierunku stacji.

— Strzelają — szepnęła Todzia. — Niemcy bronią się. Mój brat należy do POW. Pod łóżkiem ma schowany karabin. Pewnie pobiegł wypędzać Niemców. O Jezu, żeby tylko wrócił cało.

Todzia płakała. Sabina zbladła.

Wróciłyśmy do domów. Przy obiedzie mamusia powiedziała: — Wiecie, ten szwab, co zajmuje nasz pokój, zawsze, gdy wracał do siebie, walił butem w drzwi, żeby mu otworzyć. A dzisiaj wszedł do kuchni, bardzo delikatnie zapukał i zapytał grzecznie, czy może wejść do pokoju. Za chwilę wyszedł z małą walizeczką, ukłonił się i już go nie było.

Za chwilę wpadła sąsiadka i od drzwi krzyknęła: — Szwaby uciekają, 12-letni chłopcy odbierają im karabiny!

— Polska jest wolna! — zawołała mamusia.

Tatuś miał łzy w oczach, przeżegnał się, klęknął przed świętym obrazem i rzekł wzruszonym głosem: — A więc Polska zmartwychwstała! — Zaczęliśmy wszyscy śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy".

12 listopada 1918 r.

W szkole nastrój patriotyczny; na lekcji śpiewu nauczyciel zaintonował: „Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był". Podyktował nam też nową piosenkę, mamy się jej nauczyć na pamięć:

„Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój,
Nie noszą ni srebra ni złota,
lecz w pierwszym szeregu podąża na bój
piechota, ta szara piechota".

Tego dnia, kiedy wszyscy tak bardzo cieszyliśmy się, przyszły i smutne wiadomości: w czasie wczorajszej strzelaniny zginęło 3 strzelców z POW; jednym z zabitych peowiaków jest brat Todzi.

13 listopada 1918 r.

Wszystkie szkoły były na pogrzebie zabitych peowiaków. W ogóle chyba całe miasto w nim uczestniczyło. Szliśmy czwórkami. Weszłam z Sabiną do kaplicy, gdzie stały trumny z zabitymi. Przy trumnie brata Todzi — cała rodzina. Matka łkała. Ojciec, bardzo blady, podtrzymywał żonę, gdyż chwiała się na nogach. Przy Todzi stał jej drugi brat. Nie mogłam Todzi poznać, tak się zmieniła w tej rozpaczy. Gdy zamykali trumnę, krzyknęła: — [illegible] władka, on przecież żyje — i zemdlała.

Grudzień 1919 r.

Chwyciły wielkie mrozy, rzeka zamarzła i wszyscy chodzą z łyżwami na ślizgawkę. Wczoraj poszłam obejrzeć. Ślicznie to wygląda, niektórzy holendrują parami, Kazik M. też jeździł ze swoją siostrą. Dlaczego moich rodziców nie stać na to, by kupić nam buty i łyżwy?

W pobliżu mnie mieszka Zenka, ona bardzo chce się ze mną zaprzyjaźnić. Dziś przyszła do mnie i powiedziała do mojej mamusi: — Niech pani pozwoli Janeczce pójść do mnie, mamy gramofon, to sobie zatańczymy. Rodzice są w domu.

Poszłam z nią. Przed jej domem zatrzymała się: — Moi rodzice wiedzą, że jestem u ciebie, a twoi, że ty jesteś u mnie. Jesteśmy więc wolne i chodźmy na spacer.

Zaskoczyła mnie. — Dokąd? Po co? — spytałam.

— Zobaczysz. Chodźmy na główną ulicę, tam jest wspaniale, można się nieźle zabawić. — I pociągnęła mnie za sobą.

Na głównej ulicy spacerowały grupy nie znanych mi mężczyzn, uśmiechali się do nas, proponowali dalszy wspólny spacer. Zenka, roześmiana, czuła się świetnie w tym tłumie. Mnie nie bawiło to zupełnie, a i dręczyło kłamstwo wobec rodziców. Zawróciłam w stronę domu.

Zenka dogoniła mnie. — Przed domem otrząśnij beret ze śniegu, żeby nie poznali. — Krótko pożegnałam ją, postanawiając nie widywać się z Zenką.

Wrzesień 1920 r.

Mój pierwszy bal. Mamusia kazała mi uszyć ładną wełnianą sukienkę z haftem przy szyi. Na prośbę p. Wrońskiego pożyczono nam salkę w refektarzu poklasztornym. P. Zofia grała nam do tańca na skrzypcach, a gdy się zmęczyła, zastępowała ją jej ciotka grą na pianinie albo Stasia bębniła jedną poleczkę, jaką umiała.

Byłam upojona muzyką i tańcem. Tańczyliśmy walczyki zwykłe i figurowe, poleczki i mazurki. Najbardziej lubiłam poleczki i walczyki. Byliśmy wszyscy roześmiani, pełni radości i życia, a to dzięki p. Zofii i p. Wrońskiemu. Oni lubili nas, a myśmy ich uwielbiali.

Na drugi dzień na korytarzu p. Zofia powiedziała do mnie — Ale ty, Janko, trzymasz się w tańcu bardzo dystyngowanie, dobrze tańczysz i ładnie wyglądasz — i pocałowała mnie w policzek.

P. Zofię bardzo kochałam i naśladowałam ją we wszystkiem była ona dla mnie źródłem dobrego wychowania, miała artystyczne maniery, jak się o niej wyraziła moja mamusia, i była bardzo taktowna. Naśladowałam nawet charakter jej pisma. Dla niej przecież wykułam na pamięć wszystkie formułki z gramatyki francuskiej.

Aha, tańczyłam również z Marianem; przeszywał mnie wzrokiem, a wreszcie spytał, czy lubię chodzić na spacery.

— A może razem wybralibyśmy się na spacer?

Listopad 1920 r.

Bardzo często, gdy wychodziłam do miasta, spotykałam Mariana. Towarzyszył mi i mówił o swojej wielkiej miłości do mnie. Zwykle zaczynałam mówić o czym innym, a on odprowadzał mnie do bramy domu i podawał kolejny list.

„DROGA KOLEŻANKO!

Jak bardzo cierpię z powodu Twej obojętności ku mnie. Jesteś gwiazdą mojego życia, śnię o Tobie. Uwielbiam Cię do tego stopnia, że stale myślę o Tobie, cokolwiek bym nie robił. Może moja miłość jest szalona, może powiesz, że jest głupia.

Nie, Ty tak nie powiesz. Kocham Ciebie moją wielką, pierwszą miłością młodzieńczą, czystą jak łza i wierną, i dobrą, i jedyną. Błagam Cię o dobre słowa, o słowa otuchy i nadziei, że może kiedyś wzruszy się Twoje serce dla mnie.

Chciałbym z Tobą dłużej porozmawiać, ale Ty unikasz spotkań. Czy Ty nawet mnie nie lubisz? Czy ja Cię nic nie obchodzę? Powiedz prawdę. Albo nie mów, prawda może by mnie zabiła. Porozmawiamy dzisiaj, bądź w oknie, ja będę czekał na balkonie. Wierny do grobowej deski Marian".

Listów od Mariana miałam 6. Schowałam je na samo dno wiklinowego koszyka, na tych listach ułożyłam moje różne skarby: korale, ładne pocztówki, ołówki kolorowe, wodę kolońską i kilka nowych chusteczek.

19 czerwca 1921 r.

Marian wyjechał. Dopiero pod koniec wakacji, kiedy już i my byliśmy gotowi do wyjazdu, spotkałam się przypadkowo na ulicy z Janką, moją najlepszą koleżanką i powiernicą, która wiedziała o nieszczęśliwej miłości Mariana. Powiedziała mi, że jest w Łodzi u rodziny. Gdy go widziała, był bardzo mizerny. Mówił, że jest chory i chciałby się ze mną zobaczyć.

Tydzień temu umarł na gruźlicę. Więcej już pisać nie mogę.

BLANKA GOŁĘBOWNA
z Łodzi

Fot. CAF — BTA

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

żeglować pod wiatr

Najdawniejsi żeglarze pływali tylko z wiatrem. W portach wyczekiwały statki na pomyślne podmuchy, a każdy z nich miał wysoką rufę, bowiem najczęściej fale uderzały w nią od tyłu Kiedy zmieniał się kierunek wiatru lub na morzu zalegała cisza, marynarze uciekali się do pomocy wioseł

Żeglarze Morza Śródziemnego wiedzieli już 300 lat p.n.e., że lawirując reją żagla, ustawioną niemal równolegle do kila, mogą płynąć pod wiatr — posuwać się zygzakiem. Był to jednak sposób mało skuteczny, a przy tym mozolny.

Niektóre ze starożytnych statków handlowych miały żagiel typu Fok, zawieszony na bukszprycie, podobnie jak żagiel wodny wielkich okrętów w XVII i XVIII wieku. Pozwalał on na utrzymywanie właściwego kierunku dzioba statku przy żegludze z wiatrem.

Jeszcze w X wieku skuteczne żeglowanie pod wiatr było czymś niezwykłym. Kiedy Raud Mocny, jeden z wodzów Wikingów, uciekał w ten sposób przed okrutnym, fanatycznym królem Norwegii, ten uznał, że umykający pomagał sobie czarami. Gdy wreszcie schwytał Rauda pobożny król Olaf, pozbawił go życia w sposób wielce oryginalny: przez wepchanie do gardła żmii.

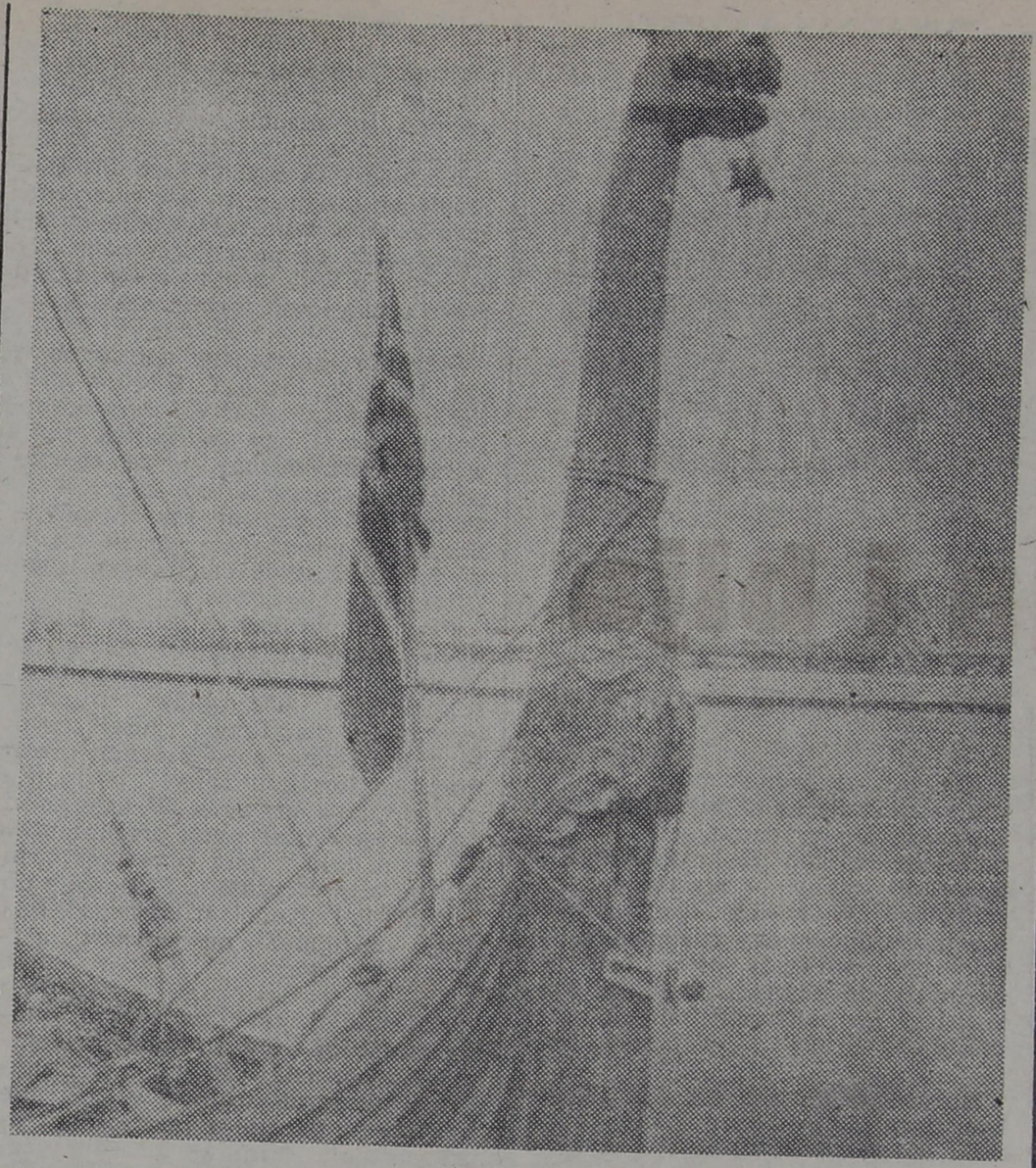

ogień namiętności

Od najdawniejszych czasów sen o ogniu uważano za symbol namiętności. Senniki ludowe interpretowały równo płonący ogień jako zapowiedź zamożności i powodzenia. Płomień rozniecany przez mężczyznę wróżył mu ojcostwo, natomiast kobiecie — udane dziecko. W sennikach arabskich ogień wróżył fortunę, ale o podejrzanym pochodzeniu i nietrwałą. Według Freuda — sen o ogniu symbolizuje pożądanie, namiętności i pragnienie pełni życia. W interpretacji Carla Gustawa Junga, ucznia Freuda, ogień oznaczał miłość i energię psychiczną. Fizjologowie natomiast widzą w takim śnie zapowiedź infekcji organizmu i, co za tym idzie, podniesienia temperatury ciała.

Woda, jako jeden z najważniejszych żywiołów, wzbudzała zawsze zainteresowanie wyjaśniaczy snów. Starożytni uważali, że picie zimnej wody oznacza szczęście, natomiast ciepłej czy gorącej jest zapowiedzią choroby lub wielkiego nieszczęścia. Oglądanie we śnie odbicia własnej twarzy w wodzie Egipcjanie tłumaczyli jako zapowiedź rychłej śmierci. Arabowie traktowali zmąconą wodę jako zwiastun kłopotów i zmartwień.

Współczesna psychoanaliza do snów o wodzie również przywiązuje duże znaczenie. Kąpiel w rzece lub basenie uważa za podświadome pragnienie zmiany lub powrotu do dzieciństwa. Osoba, która śni o takiej kąpieli, pragnęłaby uwolnić się od niepokojów albo poczucia winy, związanej z teraźniejszym życiem zawodowym, uczuciowym, seksualnym. Kąpiel w zmąconej wodzie wyraża ponoć pragnienie przekreślenia jakiegoś nieetycznego czynu. Natomiast swobodne pływanie w wodzie czystej jest oznaką wiary we własne siły. Pływanie z obawą o utonięcie świadczy o zahamowaniach wewnętrznych i kompleksie niższości. Woda stojąca mówi o równowadze psychicznej śniącego, wartko rwący strumień — o nieokiełznanych namiętnościach, a także jest zapowiedzią agresywnych zachowań. Fizjologowie interpretują natomiast sny o wodzie jako sygnał chorób nerek lub moczowodu.

żywe sejsmografy

Kiedy jeden z mieszkańców Aszchabadu udawał się na spoczynek, ni stąd, ni zowąd potężny owczarek schwycił śpiące dziecko za koszulę i rzucił się do drzwi. Gospodarz złapał strzelbę i wyskoczył z domu razem z żoną. Wtem ziemia się zatrzęsła, a dom legł w gruzach. Tak oto pies uratował z trzęsienia ziemi całą rodzinę. Podobny przypadek wydarzył się innej mieszkance Aszchabadu. Na godzinę przed katastrofą pies zaczął się niepokoić, rozbudził gospodynię śpiącą na tarasie, skomlał, lizał jej twarz, usiłował ściągnąć z łóżka. Kobieta wstała i wypuściła psa na ulicę. Ten pędem pobiegł kawałek, lecz nagle zawrócił i schwyciwszy ją za fartuch, pociągnął dalej od domu Wówczas nastąpiło trzęsienie ziemi, które zniszczyło stolicę Turkmenii — Aszchabad (w roku 1948)

Takie zachowanie zwierząt w chwilach kataklizmu można wyjaśnić nie tylko wcześniejszym odczuwaniem kołysania skorupy Ziemi, ale i zmieniającej się temperatury wnętrza oraz pola magnetycznego w strefie epicentrum. Jeśli ludziom do odnotowania tych zmian potrzebne są skomplikowane przyrządy, zwierzęta wykrywają je przy pomocy swoich systemów nerwowych i organów zmysłowych. Osobliwa wrażliwość na owe zmiany cechuje węże Częstokroć przed wszystkimi zwierzętami zwiastują groźne symptomy zbliżającego się nieszczęścia. Chociaż nie słyszą podziemnego huku, potrafią wyczuć najlżejsze kołysania skorupy. W Meksyku, gdzie często bywają trzęsienia ziemi, węże-sejsmografy cieszą się niezwykłym poważaniem ludzi

Po trzęsieniu ziemi w Taszkiencie w roku 1966 odnotowano wiele przypadków niezwykłego zachowania się zwierząt. Na przykład gołębie, na pół minuty przed pierwszymi podziemnymi drganiami, opuściły gołębnik i polatawszy w zupełnej ciemności, siadły na dachu. Stado wzlatywało tak przed każdym wstrząsem.

Znane są fakty świadczące o tym, że wiele zwierząt potrafi przeczuć wybuchy wulkaniczne. W marcu 1956 r. na Kamczatce nastąpił wybuch wulkanu. Nie zginął wówczas ani jeden niedźwiedź. Wszystkie wcześniej opuściły swe legowiska i powędrowały w bezpieczniejsze miejsca. Zbudziły się ze snu zimowego! Są również rośliny, które przestrzegają przed nadchodzącymi wybuchami wulkanicznymi. Na Jawie rośnie, na przykład, królewska prymula, która rozkwita tylko przed wybuchem.

Do żywych sejsmografów należą także pewne gatunki ryb W roku 1783, tuż przed trzęsieniem ziemi na Sycylii, ławice ryb wypłynęły na powierzchnię morza. W Japonii pewna rybka, hodowana w akwariach, swoją wrażliwością przewyższa najczulsze sejsmografy. Na wiele godzin przed drganiami skorupy ziemskiej miota się i wykonuje koliste ruchy

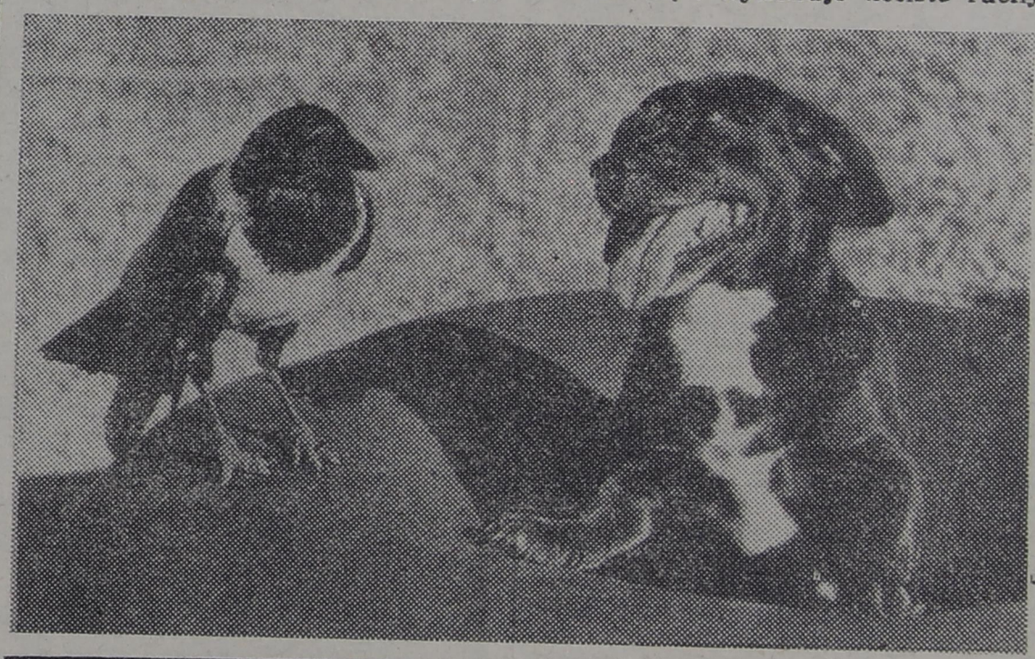

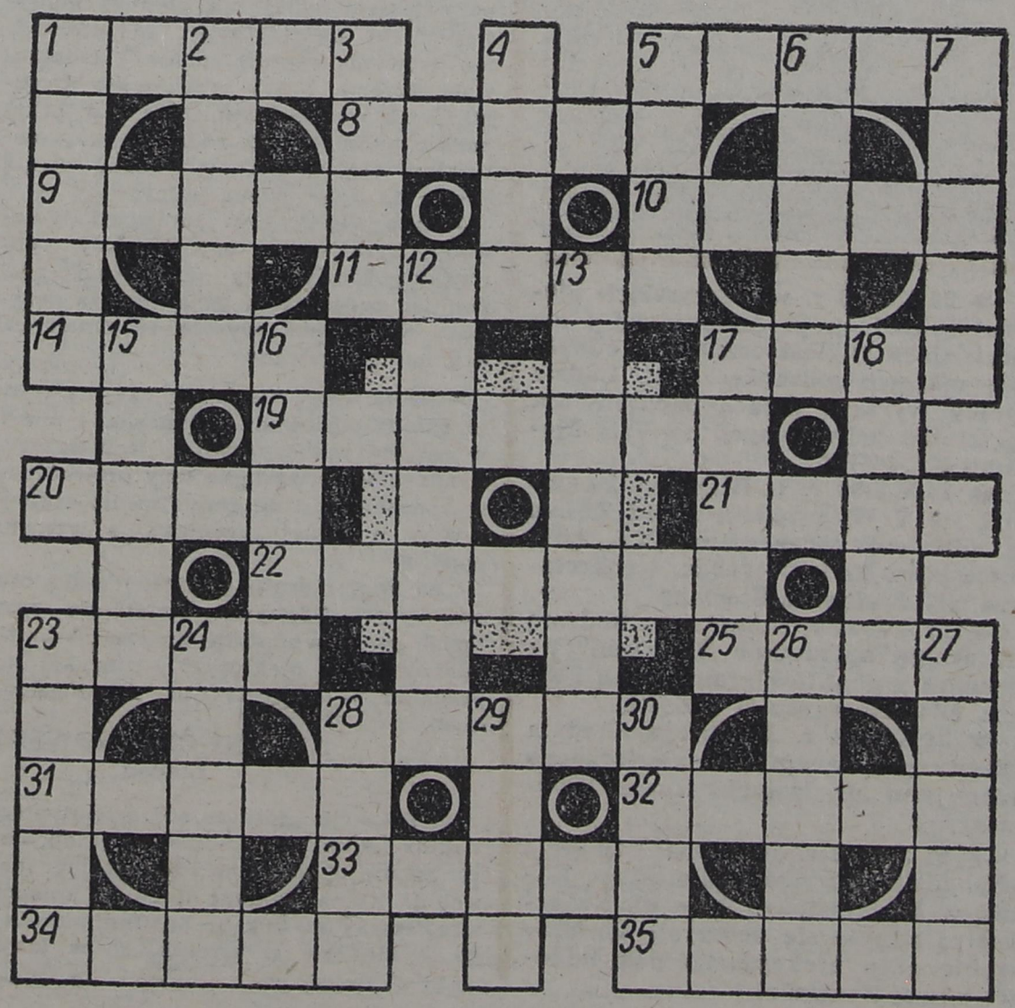

POZIOMO: 1) matecznik, niedostępna część kniei, 5) pospolity chwast zbożowy, 8) miejsce akcji „Iliady", 9) zimowy sprzęt sportowy, 10) piecza, 11) pospolita ryba morska, 14) najtrudniejszy jest ten pierwszy, 17) wydobywa się z wulkanu, 19) między żebrami a miednicą, 20) pociecha królewskich ptaków, 21) brak interesującego zajęcia, 22) miejsce żołnierskich ćwiczeń, 23) trudno ją znaleźć w stogu siana, 25) tucznik, 28) przylądek Antarktydy Wschodniej, miejsce pierwszego lądowania na Antarktydzie, 31) palenie się budynków, lasu, 32) plus, 33) bieda, ubóstwo, 34) dawna nazwa wsi, osiedla wiejskiego, 35) ściska i informuje.

PIONOWO: 1) nóż do korowania drzew, 2) okres godowy u ryb, 3) odmiana smacznego ciastka, 4) niwa, 5) duże naczynie, często w kształcie ściętego stożka, 6) kruszyna, drobina, 7) np, gąsienica, pędrak, kijanka, 12) pokrywa Grenlandię, 13) poziomy element konstrukcyjny przenoszący główne obciążenie konstrukcji, 15) ptak drapieżny z rodziny sokołów, 16) samica łosia, 17) w ustroju feudalnym ziemia nadana przez seniora wasalów, 18) atrybut rybaka, 23) sytuacja, położenie bez wyjścia, 24) do spania, 26) na końcu trakcji tramwajowej, 27) budynek gospodarczy, 28) przepływa przez Florencję, Pizę, 29) góry w Ameryce Pd., 30) część wyścigu.

„HCL"

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadeślą pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe

TANIE DANIE

ciasteczka ze skwarków

Skwarki ze słoniny (5 dkg), usmażone na jasnosłomkowy kolor, zmieszać z żółtkiem ugotowanym na twardo, wsypać 3 dkg zmielonych orzechów, 2 łyżki cukru, ćwierć łyżeczki sody oczyszczonej, wbić całe jajko i dodać tyle mąki, aby ciasto, po posiekaniu nożem, dało się zagnieść i cienko rozwałkować. Wykrawać ciasteczka, smarować jajem, posypywać cukrem i piec na blasze w średnio gorącym piekarniku na złoty kolor.

Sposób drugi: 30 dkg skwarek ze słoniny lub sadła zemleć w maszynce z drobnym sitkiem. Pół kilograma mąki wymieszać z łyżeczką proszku do pieczenia, przesiać na stolnicę, wbić 2 jajka, dodać skwarki i 15 dkg cukru. Zagnieść i wyrobić ciasto (powino być dość twarde). Rozwałkować, wykrawać ciasteczka i piec w gorącym piekarniku na złoty kolor. Po upieczeniu można posypać cukrem pudrem.

strategia pod krzyżówkę

PORADNIK PETENTA

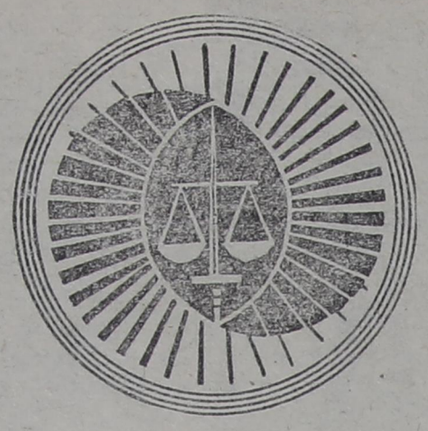

gdy pija i bija

Nieporozumienia pomiędzy rodzicami i dziećmi, a także pomiędzy małżonkami, przysparzają prawnikom wiele problemów. Pokrzywdzeni nie tylko nie znają swych uprawnień, ale nawet nie wiedzą, gdzie szukać pomocy. Trafiają do ogranów Milicji Obywatelskiej, prokuratury i sądu z dużym opóźnieniem, gdy rozkład rodziny jest już bardzo daleko posunięty

Wanda i Zdzisław K. zawarli związek małżeński w roku 1970. Już po dwóch latach stosunki między nimi nie układały się najlepiej. Zdzisław K. coraz częściej zaglądał do kieliszka, wracał do domu w stanie nietrzeźwym. Z czasem zrezygnował z wykonywania stałej pracy zarobkowej. Zatrudniał się jedynie dorywczo, a większość zarobionych pieniędzy przeznaczał na alkohol. W domu zaczęło dochodzić do kłótni i awantur. Ze wzmożoną częstotliwością wystąpiły one pod koniec lat siedemdziesiątych. W stanie nietrzeźwym Zdzisław K. ubliżał żonie, szarpał ją i bił. Ciosy najczęściej zadawał w brzuch. Niejednokrotnie żona traciła przytomność. Groził jej również oszpeceniem i zabójstwem. W takich przypadkach lubił wkładać żyletki między palce i zbliżać jej do twarzy. Była przerażona. Oczekiwała powrotu męża ze strachem. Wielokrotnie uciekała z domu. Aby jej dokuczyć, Zdzisław K. posuwał się czasami do załatwiania potrzeb fizjologicznych w mieszkaniu. Tragedię pogłębiał fakt, że ofiarą stała się również nieletnia córka. Doprowadzona do ostateczności — Wanda K. zwróciła się o pomoc do Milicji Obywatelskiej i prokuratury. Rozmowy profilaktyczne, przeprowadzone ze Zdzisławem K., nie dały żadnego rezultatu, dlatego też wszczęto przeciwko niemu postępowanie przygotowawcze.

Stosownie do art. 184 § 1 „Kodeksu karnego" każdy, kto znęca się fizycznie lub moralnie nad członkiem swej rodziny lub nad inną osobą, pozostającą w stałym czy przemijającym stosunku zależności od sprawcy, albo nad małoletnim lub osobą bezbronną, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do 5 lat. Paragraf 2 tegoż artykułu przewiduje natomiast, że jeżeli następstwem czynu jest targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10. Ściganie tego rodzaju przestępstw odbywa się z oskarżenia publicznego.

Na podstawie art. 184 § 1 „Kodeksu karnego" sąd skazał Zdzisława K. na karę pozbawienia wolności. Ze względu na dobro rodziny, a przede wszystkim — dla uchronienia jej przed rozpadem, wykonanie kary warunkowo zawiesił na okres próbny. Zdzisław K. nie wykorzystał jednak danej mu szansy. Doszedł do wniosku, że skoro go nie „wsadzono", to wszystko mu wolno. W dalszym ciągu nadużywał alkoholu i robił w domu awantury. Wymierzał żonie sprawiedliwość za to, że ośmieliła się chodzić na skargę do MO i prokuratury. Przeliczył się. Trafił do Zakładu Karnego, gdyż sąd — nie widząc w jego postępowaniu poprawy — zarządził wykonanie wymierzonej kary pozbawienia wolności.

Nie zawsze jednak nieporozumienia w rodzinie są aż tak drastyczne. Zdarzają się sytuacje, gdy kłótnie, padające w ich trakcie obelgi, a także rękoczyny — występują sporadycznie. W takich przypadkach nie może być mowy o znęcaniu. Oczywiście, sprawca może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej, lecz na podstawie innych przepisów.

Stosownie do art. 156 § 2 „Kodeksu karnego" — każdy, kto powoduje obrażenia naruszające czynności ciała na czas nie przekraczający 7 dni, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3. Natomiast art. 182 § 1 przewiduje, iż każdy, kto uderza człowieka lub w inny sposób narusza jego nietykalność cielesną, nie pozostawiając lub pozostawiając tylko nieznaczne ślady na ciele, podlega karze pozbawienia wolności do roku, ograniczenia wolności lub grzywny. Tej samej karze podlega również ten, kto znieważa inną osobę w jej obecności albo chociażby pod jej nieobecność, lecz publicznie lub w zamiarze, aby zniewaga do adresata dotarła (art 181 § 1). Jeżeli zniewaga lub też uderzenie zostało wywołane wyzywającym zachowaniem się pokrzywdzonego czy też czynem tego samego rodzaju, sąd może odstąpić od wymierzenia kary.

Ściganie przestępstw opisanych w art. 156 § 2, 181 § 1, 182 § 2 „Kodeksu karnego" odbywa się z oskarżenia prywatnego. W takich sprawach pokrzywdzony może sporządzić akt oskarżenia osobiście lub też skorzystać z pomocy zespołu adwokackiego, a następnie wnieść go do wydziału karnego sądu rejonowego.

Przy nieporozumieniach rodzinnych często się również zdarza, że jeden z małżonków wynosi z domu i sprzedaje bez zgody drugiego wspólnotę majątkową. Jeżeli czyni to z zamiarem powiększenia swego majątku kosztem żony, postępuje niezgodnie z prawem. W zależności od wartości zabranych przedmiotów — czyn taki jest przestępstwem lub też wykroczeniem. Stosownie do art. 203 § 1 „Kodeksu karnego", ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego.

Najczęściej pokrzywdzonym, którzy zwracają się w sprawach rodzinnych do organów ścigania, nie chodzi o ukaranie sprawców. Przede wszystkim proszą o pomoc: przeprowadzenie rozmowy profilaktycznej lub skierowanie na leczenie odwykowe przeciwalkoholowe. Zależy im na trwałości rodziny. Taki sam cel przyświeca organom ścigania i sądom przy załatwianiu spraw rodzinnych.

EUGENIUSZ WILDNER
Fot. GABOR LÖRINCZY

wypisy z historii

✱ 20 X 1834 r. przez Łomżę przejeżdżał car Mikołaj I.

✱ 17 X 1903 r. mieszkaniec Miastkowa wyorał pięć bomb pochodzących z wojen XVIII stulecia.

✱ 20 X 1944 r. w Białymstoku rozpoczęła pracę pierwsza po wojnie szkoła muzyczna — Prywatny Instytut Muzyczny, kierowany przez Helenę Frankiewicz. W 1946 r. Instytut został przekształcony w Niższą i Średnią Szkołę Muzyczną, upaństwowioną w roku 1950.

✱ 22 X 1944 r. w Wysokiem Mazowieckiem odbyło się pierwsze posiedzenie komórki PPR-u. Omawiano na nim przebieg prac związanych z realizacją dekretu o reformie rolnej.

✱ 23 X 1944 r. — po zaciętych dwudniowych walkach na ulicach Suwałk — wojska 31 armii gen. Władimira Głagoliewa (3 Front Białoruski) wyzwoliły miasto. Władzę przejął starosta suwalski, Stanisław Łapot, mający swą tymczasową siedzibę w Sejnach. Na placu Mickiewicza odbył się wiec z udziałem 4 tysięcy osób, a następnie — w kinie „Rusałka" — spotkanie ludności miasta z przedstwicielami PKWN-u.

✱ 23 X 1944 r. Wojewódzki Teatr Kukiełkowy w Białymstoku wystąpił (w kinie „Swiat") z pierwszym przedstawieniem dla dzieci — „Od Beskidów do Bałtyku" oraz z nadprogramem „Hitler ucieka". Pierwszym kierownikiem Teatru był artysta plastyk Stefan Niewiadomski.

✱ 23 X 1944 r. pierwsze akty nadania ziemi z Reformy Rolnej otrzymali chłopi ze wsi Dobrzyniówka w powiecie białostockim.

✱ 21 X 1946 r. społeczeństwo Łomży przystąpiło do odbudowy Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki.

✱ 22 X 1956 r. we wszystkich niemal zakładach produkcyjnych i instytucjach Białostocczyzny odbyły się masowe zebrania załóg. Ludzie pracy wyrazili gorące poparcie dla przemian uchwalonych na VIII Plenum KC PZPR.

✱ 18 X 1959 r. w Białymstoku odbył się V Wojewódzki Zjazd ZSL-u z udziałem wiceprezesa NK ZSL, Bolesława Podedwornego, i sekretarza NK, Ludomira Stasiaka.

✱ 19 X 1963 r. zakończono budowę rurociągu naftowego „Przyjaźń" na jednym z punktów granicznych PRL (na Białostocczyźnie) i ZSRR.

✱ 22 X 1968 r. Telewizja nadała pierwszy program comiesięcznego magazynu „Białostocki Kurier Telewizyjny".

✱ 21 X 1972 r. jubileusz 20-lecia obchodziła Rozgłośnia Polskiego Radia w Białymstoku. Przy ul. Świerkowej odbyło się uroczyste wmurowanie aktu erekcyjnego pod budowę nowej Rozgłośni.

kontakty kontaktów

Odkąd diabły z ostatniej strony przestały dyskutować, czytanie „Kontaktów" rozpoczynam od „Spięć". Bywają tam bowiem niekiedy pikantne i ciekawe ploteczki z województwa. Tak było również w dniu 30 września br. przy czytaniu numeru 103. Ku mojemu zdziwieniu wyczytałem tekst anonimowego urzędnika wojewódzkiego z przekąsem donoszącego Panu redagującemu spięcia o zamiarze Wojewody Łomżyńskiego wprowadzenia w Urzędzie Wojewódzkim planowania pracy. Pan redaktor bez żadnej analizy umieścił ten tekst w spięciach, dodając do tego „czarny" komentarz. Pomijam sprawę, że najwyższy czas, aby krytykujący administrację w ogóle, w tym państwową w szczególności, zamiast totalnej krytyki bliżej analizowali określone zjawiska i wskazywali przyczyny wynaturzeń. Staliby się może wówczas uzdrowicielami pracy urzędniczej? No bo jaki sens ma winienie Wojewody, że sklep źle pracuje, ulica zaśmiecona lub chałupa wali się pod numerem tym a tym. Nie sposób przecież wszędzie wejść, a po wtóre każda instytucja, każdy pracownik odpowiada za określoną pracę i oni właśnie a nie Urząd Wojewódzki odpowiada za stan porządku w tych obejściach. Wojewoda koordynuje — zgoda, ale nie mieszajmy do tego przy każdej, nawet błahej okazji Urzędu. Są przecie konkretni adresaci!

Ale wracając do spięć. Przygotowywania do wprowadzenia w Urzędzie Wojewódzkim obowiązku planowania pracy na stanowiskach uważam za wielką sprawę, bowiem wreszcie próbuje się ustawić w czasie i przestrzeni każdego urzędnika łącznie z Wojewodą, przydzielając mu pracę na każdą godzinę. Przecież już profesor Adamiecki formuując prawo harmonii mocno akcentował potrzebę synchronizacji pracy w czasie. Oznacza to, że warunkiem efektywnej pracy jest, aby czasy działania poszczególnych stanowisk były dokładnie ze sobą uzgodnione. Właśnie wprowadzenie planowania pracy w Urzędzie zmierza do wyznaczenia w czasie, pracy dla każdego urzędnika, stwarzając tym samym szanse na właściwe jego wykorzystanie. Ironizowanie tak ważnej sprawy, jaką jest planowanie pracy, mogło mieć miejsce, bowiem z reguły każde nowe rozwiązanie wymaga większego namysłu, przestawienia się na nowe tory. My natomiast jesteśmy przyzwyczajeni do znanych nam sposobów pracy. Po części więc tym należy tłumaczyć oburzenie anonimowego urzędnika, no bo przecież przy pracy według planu nie będzie mógł wyskoczyć po zakupy w godzinach pracy, studiować prawo Perkinsona, ale będzie musiał wykonywać przydzielone mu zadania. To, że w pierwszym okresie kierownik będzie musiał poświęcić więcej czasu na opracowywanie planów jest normalną konsekwencją braku pracy według określonego reżimu sprawdzanego w czasie.

Tam, gdzie jest planowanie pracy musi być zaplanowany czas na śniadanie i relaks. I niech to nikogo nie dziwi. No bo jeśli urzędnik bez planu pracy ma możliwość 6- lub 7-godzinnego relaksu, w tym co pewien czas posilanie się pożywieniem stałej lub płynnej konsystencji, to niewątpliwie niepotrzebne mu wówczas wyodrębnienie dodatkowych przerw. U tak pracującego urzędnika, jak można domniemać i w przypadku anonimowego, rodzi się więc naturalny odruch obrony przed utratą prawa do pozorowania pracy.

— Oby więcej było zarządzeń Wojewody, Dyrektorów czy Prezesów porządkujących sprawy zaniedbane, proponując rozwiązania uznawane za oczywiste w krajach wysoce rozwiniętych, a u nas naigrawane.

A swoją drogą nie wiem, czy nie warto byłoby wprowadzić planowania pracy w zespole redakcyjnym „Kontaktów". A nóż widelec wystąpią luzy prowadzące w konsekwencji do zmniejszenia etatów i ceny umownej tygodnika, a wzrostu popytu?

I na koniec prośba do Pana redaktora od „Spięć". Gdyby nie wzięto do serca moich uwag, wnioskuję wówczas o przemianowanie niektórych rubryk, na przykład — „Spięcia" na „Kuma—Kumie".

ANTONI CHOJNOWSKI
Łomża

Od redakcji: „formuując" polemikę redaktor „Spięć" tak sobie wziął do serca, że nie była mu w stanie pomóc nawet dr Kuma. Dlatego liczy na komentarz własny do tekstu dr Chojnowskiego — nie tyle w sercach, co w umysłach Czytelników

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

cy Urzędu nie chcą przystać na propozycje rolnika, a zainteresowany bezskutecznie czeka od kilku miesięcy na pieniądze.

● Mieszkańcy gminy zamierzają wyrabiać łapcie z lipowego łyka; na razie na przeszkodzie stoi brak surowca, bowiem w okolicy w ogóle nie ma lip.

● Rolnicy z podziwem obserwują kolegę po fachu z Żarek, który ostatnio zmienił kilka ciągników, nie licząc samochodów.

KULESZE KOŚCIELNE. Po artykuły do sklepu tekstylnego kolejka ustawiła się w przeddzień wieczorem. W dostawie znalazły się m.in.: 30 par pończoch, 80 par rajstop, 130 par skarpet, kilkadziesiąt par butów dziecięcych i 10 par dla dorosłych. Dostarczony towar zupełnie nie pokrywał się z zamówieniem. W sklepie bez problemu można nabyć kalosze, ale nie wiadomo, skąd wziąć do nich filce.

KOBYLIN BORZYMY. W ostatnim tygodniu przed obniżką cen ziemniaki do skupu przywiozło 45 rolników (150 ton), w ciągu tygodnia po obniżce — 7 (25 ton). Były lata, w których o tej porze plantatorzy zdążyli dostawić 4 tysiące ton; w tym roku — do 15 października — zwieźli zaledwie 1157 ton.

● Zakończyła się drenacja gruntów położonych w obiekcie Ślima 6. Nie ustalono jeszcze, jaką część kosztów budowy urządzeń wodnych będą musieli pokryć rolnicy.

● Sołtysi zaproponowali, aby naczelnik przydzielił każdemu z nich parę gumofilców, jak to uczynił naczelnik Tykocina. Naczelnik Kobylina odmówił prośbie, motywując to troską o głowy sołtysów, zagrożone z powodu ludzkiej zawiści.

● Co znaczy: mieć pana za wojewódzką miedzą — na własnej skórze doświadczają dostawcy mleka z gminy Kobylin. Opiekę inwestycyjną sprawuje nad nimi OSM w Zambrowie, ale mleko odbiera mleczarnia w Łapach. Z Łap trudno otrzymać przydział serwatki, a Spółdzielnia w Zambrowie od kilku lat nie może wysupłać grosza na budowę dwóch, bardzo potrzebnych, zlewni mleka. Jest nadzieja, że łatwiej będzie o te dobra po nowym roku. Od 1 stycznia 1983 r. przetwórstwem mleka zajmie się zakład mleczarski w Mężeninie, podległy OSM w Zambrowie.

ZAWADY. Prezydium Gminnej Rady Narodowej zapoznało się z informacją o pracy komisji rolnictwa GRN-u i z listą kandydatów na członków ds. Wykroczeń przy Naczelniku Gminy.

● Rolnicy twierdzą, że cena zboża przygotowanego do wymiany jest zbyt wysoka (2710 złotych za kwintal) w porównaniu z ceną skupu (1440 złotych). Przypominają, że dziedzic w Grądach Woniecku brał za zboże przy wymianie najwyżej kilkanaście kilogramów więcej. W magazynach przygotowano około 120 ton zboża do wymiany; rolnicy kupili niewiele ponad tonę.

● Do sklepu w Targoniach Witach przywieziono 10 wiader. Żalów po tej dostawie było tak wiele, że stałoby się lepiej, gdyby te wiadra w ogóle się nie pojawiły.

WĄSOSZ. Powstał drugi w gminie Obywatelski Komitet Ocalenia Narodowego — w Szkole Podstawowej w Ławsku.

JEDWABNE. Prezydium Rady Narodowej analizowało wykonanie planów oraz radziło nad sposobami uporządkowania miasta i utrzymywania go w czystości.

zaprenumeruj — zyskasz ● przeczytaj — powiedz innym
zaprenumeruj — zyskasz ● przeczytaj — powiedz innym

UWAGA CZYTELNICY!

Od nowego roku stały prezent redakcji dla Waszych dzieci — bogato ilustrowany magazyn „Kontakciki" (cena 2 złote). Prenumeratorzy — w ramach bonifikaty — otrzymywać będą

„KONTAKCIKI" ZA DARMO!

A dla wszystkich, z dniem 1 stycznia 1983 r.

„KONTAKTY" TAŃSZE O 2 ZŁ!

Pojedyńczy numer kosztować będzie 10 zł.

Szczegółowe warunki prenumeraty:

Kwartalna — 130 zł, półroczna — 260 zł, roczna — 520 zł.

Ważne dla instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Grajewo, Wysokie Mazowieckie, Zambrów, Kolno i Łomża — zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,

— instytucje i zakłady zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Ważne dla indywidualnych prenumeratorów:

— osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,

— osoby zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych, wypełniając „Blankiet wpłaty" i wpłacają pieniądze na rachunek bankowy: I O/Białystok w Białymstoku, ul. Kopernika 93, nr konta 5018-1094 NBP I O/M Białystok.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

sprintem przez boiska

Aż siedmiuset piłkarzy brało udział w tegorocznych rozgrywkach ligi robotniczej, rozgrywanej pod patronatem Zarządu Wojewódzkiego TKKF-u. Trzydzieści dwie startujące w rozgrywkach drużyny rozegrały 68 meczów. Rozgrywki toczyły się w czterech grupach. Grupę grajewską, w której startowało sześć drużyn, wygrała reprezentacja Ogniska TKKF „Komunalni" z Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Grajewie. W Kolnie, wśród siedmiu zespołów, najlepsza okazała się drużyna Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej. W Zambrowie startowały cztery drużyny. Zwyciężył team Ogniska TKKF „Elektron" z „Teletransmisji". Najwięcej, bo aż 15 zespołów, startowało w Łomży. Najlepsi okazali się piłkarze z Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego. Wymienione drużyny wzięły udział w turnieju finałowym w Kolnie. Puchar Zarządu Wojewódzkiego TKKF zdobyła drużyna Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego w Łomży przed Ogniskiem TKKF „Elektron", Przedsiębiorstwem Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Grajewie i Okręgową Spółdzielnią Mleczarską w Kolnie.

WYNIKI OSTATNIEJ KOLEJKI III LIGI:

Jagiellonia — Narew	7:1
Wigry — Sokół O.	2:1
Śniardwy — Rominta	3:1
Olimpia — Mławianka	4:0
Mazur — Stomil	2:1
ZWAR — ŁKS	0:0
Gwardia — Sokół Sok.	3:1

Tabela:

1. Jagiellonia	11	19	31: 7
2. Mazur	11	17	23:14
3. Gwardia	11	16	20: 7
4. ŁKS	11	15	17:15
5. Śniardwy	11	14	20:12
6. Olimpia	11	11	16:17
7. Sokół O.	11	11	15:18
8. Sokół S.	11	10	18:14
9. Wigry	11	10	14:14
10. Stomil	11	9	14:19
11. ZWAR	11	9	10:18
12. Mławianka	11	7	10:20
13. Rominta	11	3	14:29
14. Narew	11	3	8:26

KLASA OKRĘGOWA JUNIORÓW

Tabela:

1. Narew	6	12	25: 1
2. Bug	7	11	19: 8
3. ZWAR	7	9	24:15
4. Makowianka	6	8	14:10
5. ŁKS	7	8	13: 7
6. Błękitni	6	6	19:11
7. Warmia	7	5	13:15
8. Olimpia	5	4	8:11
9. Ostrovia	6	4	10:14
10. Mazovia	6	4	8:14
11. Płońsk	5	2	3:13
12. Orzeł	6	2	6:25
13. Mławianka	6	1	4:18

KLASA OKRĘGOWA SENIORÓW

Płońsk — Chorzele	4:2
Ostrovia — Bug	0:1
Mazovia — Bawełna	3:0
Orz — Błękitni	1:2
Makowianka — Grom	2:0
Pomowiec — Warmia	6:3

Tabela:

1. Bug	8	14	21: 8
2. Makowianka	8	14	24:11
3. Mazovia	8	12	37:16
4. Błękitni	8	12	25:11
5. Grom	8	10	13: 7
6. Płońsk	8	9	17:14
7. Bawełna	8	7	12:14
8. Ostrovia	8	6	19:13
9. Warmia	8	4	15:26
10. Chorzele	8	4	8:30
11. Pomowiec	8	2	12:29
12. Orz	8	2	6:29

21.X TV 28.X

CZWARTEK — 21 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00 i 6.30. TTR: historia, sem. I i matematyka, sem. I. 7.00. Jesień '82. 9.00. Historia, kl. VI. 9.30 Program dla II zmiany. 11.00. Praca — technika, kl. IV. 13.30 i 14.00. TTR: język polski, sem. I. i biologia, sem. III. 15.40 Program dnia. 15.45 Kwadrans z „Artelem". **16.00. Czwartek TDC,** m.in. „Oddział siostry O'Neill". **17.00. Dziennik TV.** 17.20. „Telekino" — magazyn filmowy. 17.50 Telewizyjny Informator Wydawniczy. 18.00. „Pani Seda" — wspomnienie o Sewerynie Broniszównie. 18.20. „Poligon". 18.50. Dobranoc. **19.00. „Sonda" — „Towarzystwo płaskiej Ziemi". 19.30. Dziennik TV. 20.15. Teatr sensacji — Elihu Winer: „Anatomia morderstwa"** w reż. Janusza Majewskiego. 22.25 Rolnicze rozmowy. **22.35. Dzienik TV. 22.55. „Pegaz".**

PROGRAM II: 16.40 Język angielski dla zaawansowanych (5). 17.10. Język rosyjski (3). 17.40. Program dnia. 17.45. „Toula" — dramat obyczajowy produkcji nigeryjskiej. 19.00. Program lokalny. **19.30. Dziennik TV.** 20.00 Telewizja Kraków na antenie „Dwójki".

PIĄTEK — 22 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00 i 6.30. TTR: język polski, sem. III i biologia, sem. III. 7.00. Jesień '82. 9.00 „Srebrne skrzydła", kl. III. 9.30. „Wspólne mieszkanie" (4). 10.15. „Koń mój przyjaciel". 11.00. Wiedza obywatelska, kl. VIII. 13.30 i 14.00. TTR: uprawa roślin, sem. I i hodowla zwierząt, sem. I. 15.10 Redakcja Szkolna zapowiada. 15.25. NURT: Janusz Korczak: — „Jestem człowiekiem samotnej drogi". 15.55 Program dnia. 16.00. „Krąg". **16.30. „Piątek z Pankracym". 17.00. Dziennik TV. 17.20 „R. T. Peterson — obserwator ptaków"** — film dokumentalny. 18.20. „Przyjemne z pożytecznym". 18.50. Dobranoc. 19.00 „System człowiek" — „W powodzi informacji". **19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy.** 20.30. „Wspólne mieszkanie" (4). 21.15. „Moje miejsce na ziemi". 21.45. Para zespołów wojskowych. 22.45. Proponujemy, zapraszamy. **22.55. Dziennik TV.**

PROGRAM II: 16.15. Język francuski (3). 16.40. Język angielski dla zaawansowanych (6). 17.15. Program dnia. 17.20. „Drzwi do lasu" — magazyn leśny. 17.50. Temat tygodnia. 18.15. „Osądźmy sami" (1). 19.00 Program lokalny. **19.30. Dziennik TV.** 20.00. „Osądźmy sami" (2). 20.30. Telewizja Szczecin na antenie „Dwójki". **21.30. Wieczór Filmowy.** Kino Miniatur. **22.05. „Okres próbny"** — nowela produkcji bułgarskiej. 22.45. „Gustaw czuwa".

SOBOTA — 23 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00, 6.30, 7.00 i 7.30. TTR: uprawa roślin, sem. I, hodowla zwierząt, sem. I, uprawa roślin, sem. III i hodowla zwierząt, sem. III. 8.15. Jesień '82. 8.25. „Tydzień na działce". 8.55. Program dnia. **9.00. „Sobótka". 10.30. „Pierwsze dni" — polski film fabularny.** 12.00. Wybrane z tygodnia. 13.30. „W pokojowej misji" — wojskowy film dokumentalny. **14.00. Siedem Anten. 15.00. Dziennik TV.** 15.15. „Z Polski rodem". 15.45. „Z różą Wiatrów w herbie". 16.30. Program publicystyczny. 16.55. Zespół „Dżem". **17.25. „Kot w worku" — radziecka komedia filmowa.** 18.50. Dobranoc. 19.00. „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej". **19.30. Dziennik TV. 20.15. „Spotkanie na Atlantyku" — polski film fabularny.** 22.00. Program reporterów. **22.50. Dzienik TV. 23.10 „Uśmiechy mistrzów" — Zdzisław Maklakiewicz.**

PROGRAM II: 8.30. „Dwójka" dla drugiej zmiany. 10.30, 11.00 i 11.30. NURT: „Klasa — zespół wychowawczy", matematyka i „Nauczyciel, wychowanie, społeczeństwo". **14.00—23.30. Studio 2.**

NIEDZIELA — 24 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00, 6.30 i 7.00. TTR: uprawa roślin, sem. III, hodowla zwierząt, sem. III i „Wiedza naszą szansą". 7.20. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.15. „Tydzień". **9.00. „Teleranek".** 10.25. Po drugiej stronie ekranu. 10.45. „Z kamerą wśród zwierząt". 11.15. „Pokój czy wojna" — radziecki film dokumentalny. **12.15. „Zza płota"** — widowisko wojskowe. 13.10. „Dlaczego" — program Redakcji Rolnej. 13.35. Ermitaż — „Rosyjskie rzemiosło artystyczne". **14.05. „Przygody Sindbada". 14.45. Dziennik TV i magazyn „Świat".** 15.35. „Jutro poniedziałek". **16.10. Stare Kino — „Nie tylko dla dorosłych".** 17.15. „Weterani" — reportaż. 17.45. Spotkanie z Joanną Rawik. 18.15. Studio Sport. 19.00. Wieczorynka. **19.30. Dziennik TV. 20.15. „Jan Serce" (4) — „Pieszczoty".** 21.15. Sportowa Niedziela. 21.45. „Dzień jak co dzień" — music hall.

PROGRAM II: 12.00. „Jan Serce" — „Pieszczoty" (dla niesłyszących). 13.00. „Militaria, obronność, nowoczesność". 13.30. Program lokalny. 14.00. Dni Kultury Bułgarskiej w Polsce. **14.30.—22.30. Studio 2.**

PONIEDZIAŁEK — 25 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 13.30. i 14.00. TTR: chemia, sem. I i biologia, sem. I. 15.25. NURT: najnowsza historia Polski. 16.00. „Zwierzyniec". **17.00. Dziennik TV.** 17.20. „Samemu źle" (2) — „Pożegnanie z Albertem". 18.10. Od melodii. 18.20. Echa stadionów. 18.50. Dobranoc. 19.00. Choroby serca. **19.30. Dziennik TV. 20.15. Teatr Telewizji — „Intermedia".** 21.50. Rolnicze rozmowy. **22.05. Dziennik TV.** 22.25. „Jaki jest świat". 22.55. Jazz na dobranoc.

PROGRAM II: 17.30. Program lokalny. 18.00—22.00. Dzień ONZ w TVP.

WTOREK — 26 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00 i 6.30. TTR: chemia, sem. I i biologia, sem. I. 7.00. Jesień '82. 9.00. Język polski, kl. I lic. 9.30. „07 zgłoś się". 11.00. Plastyka, kl. III. 13.30 i 14.00. TTR: matematyka, sem. III i fizyka, sem. III. 15.45. Kwadrans z „Artelem". 16.00. Latający Holender. 16.30. „Skakanka". **17.00. Dziennik TV.** 17.20. „Podróże z „Hagawem". **17.50. Interstudio. 18.20. Helmut Kajzar: „Błazen, aktor i widz".** 18.50. Dobranoc. 19.00. „Skąd nasz naród". **19.30. Dziennik TV. 20.15. „Chłopi" (13) — „Zemsta".** 21.05. Rolnicze rozmowy. 21.15. Liczą się fakty. **22.00. Dziennik TV.** 22.20. „Jam jest kara", czyli wokół mitu Jakuba Szeli.

PROGRAM II: 16.20. Język angielski dla zaawansowanych (7). 16.50. Język rosyjski (4). **17.30. „Czterdziesty pierwszy"** — dramat prod. ZSRR. 19.00. Program lokalny. **19.30. Dziennik TV.** 20.00. Warianty nadziei. **21.00 Wtorek Melomana. 22.00. „Jan Serce" (4) — „Pieszczoty".** 23.00. Kwadrans z „Artelem".

ŚRODA — 27 PAŹDZIERNIKA 1982 r.

PROGRAM I: 6.00 i 6.30. TTR: matematyka, sem. III i fizyka sem. III. 7.00. Jesień '82. 8.10. Fizyka, kl. VII. 9.00. Chemia, kl. VII. 9.30. „Dwójka" dla drugiej zmiany. 11.00. Historia kl. VII. 12.30. Reforma po starcie. 13.30 i 14.00. TTR: język polski, sem. I i matematyka, sem. I. 15.25. NURT: „Psychologiczne problemy zawodu nauczyciela". **16.00. Kino Waszych rodziców.** 16.30. „Pozytywka". **17.00. Dziennik TV.** 17.20. Rozmaitości sportowe **17.55. Popołudnie reportażu i filmu dokumentalnego.** 18.50. Dobranoc. 19.00. „Planeta Ziemia". **19.30. Dziennik TV.** 20.15. Rolnicze rozmowy. 21.25. San Remo '82 **22.05. Dziennik TV.**

PROGRAM II: 16.25. Język francuski (4). 16.55. Język angielski dla zaawansowanych (7). **17.30. „Zerwana nić babiego lata"** — radziecki dramat wojenny. 19.00. Program lokalny. **19.30. Dziennik TV.** 20.00—22.00. Telewizja Katowice na antenie „Dwójki". 22.00. Reforma po starcie.

IMPREZY KULTURALNE

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Oni z Onigoshimy" — spektakl Białostockiego Teatru Lalek, 21 X, 22 X, 23 X, godz. 10.00 i 12.00.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych: Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu" — projekcja filmu „Rejs" w reżyserii Marka Piwowskiego (w klubie „Stałe Zajęcie"), 22 X, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: dyskoteka dla młodzieży, 23 X i 24 X, godz. 19; koncert filharmonii, 26 X, godz. 14.00; „Odwiedziny" — poezja śpiewana w wykonaniu Krystyny Przybyszewskiej.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: „W krainie baśni" — spektakl dla dzieci, 23 X, godz. 16.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszu: uroczysta inauguracja szkolenia politycznego oraz podsumowanie obchodów 100-lecia polskiego ruchu robotniczego, 22 X, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „Kopciuszek" — spektakl teatrzyku dziecięcego, 21 X, godz. 17.00; występ kabaretu ze Stawisk z programem muzyczno-satyrycznym, 23 X, godz. 16.00; dyskoteka dla młodzieży, 23 X, godz. 16.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Grajewie: spotkanie z nauczycielami (w programie występ zespołu z Ośrodka Kultury w Grajewie); organizator — PCK w Grajewie, 23 X, godz. 10.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna: koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży, 21 X, godz. 18.00: Uwertura do opery „Preziosa" Carla Marii Webera, Koncert na fortepian a-moll, opus 54, Roberta Schummana, Symfonia nr 100, zwana „Wojskową", Józefa Haydna.

WPHW informuje, iż sklepy na terenie miast: Łomża i Zambrów pracują w sobotę — 23 października 1982 r. — w normalnym wymiarze czasu. Zapraszamy.

ogłoszenia drobne

ZGUBIONO wkładkę do dowodu osobistego wydaną na nazwisko Marian Kulesza Nr Am 571816. K-6935

ZGUBIONO wkładki zaopatrzenia do dowodu osobistego wydane na nazwisko Radgowski Czesław — Am 670110, Henryka — Am 670111, Bogdan — Am 670112, Wiesław — Am 670113, Grzegorz — Am 670114. K-6936

SKRADZIONO wkładki do dowodu osobistego wydane na nazwisko Chojnowska Irena — Am 669827, Józef — Am 670161, Zofia — Am 671064, Mieczysław — Am 671062. Waldemar — Am 671063. K-6937

SKRADZIONO wkładkę do dowodu osobistego nr Am 527220 wydaną na nazwisko Franciszka Kamińska. K-6938

ZG[illegible] wkładki do dowodu osobistego wydane na nazwisko Maria Zaremba nr Am 668331 oraz Elżbieta nr Am 668333. K-6939

SKRADZIONO wkładkę do dowodu osobistego nr Am 725888 wydaną na nazwisko Jan Dzbeński. K-6940

ZGUBIONO wkładkę do dowodu osobistego nr Am 571992 wydaną na nazwisko Andrzej Zorczykowski. K-6941

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury", Olsztyn 2, skrytka 336. K 2963-00

KONTAKTY

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny. Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego. Nina Omelczenko — sekretarz redakcji. Helmut Gała, Wiesław Kołowski, Adam Jerzy Socha, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Alicja Zagórska. Fotoreporter — Gabor Lőrinczy. Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski. Redaktor techniczny i korekta Elżbieta Słupska. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Bronisław Gołębiowski, Jacek Grün, Wiesław Jan K[illegible], Adam Dobroński, Piotr Kuncewicz, Jan Kwasowski, Jan Łukasiuk, Tomasz Piotrowski, Andrzej Podulka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpaliński, Wiktor Szukiel, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel. ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 67-11 (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), telex — 85-22 85. WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 1306/82. Nakład 9.780 L-8. PL ISSL 0203-5840. Nr indeksu 36528. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43, 42-44 oraz wszystkie [illegible] [illegible]. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Warunki prenumeraty: kwartalnie — 156 zł, półrocznie — 213 zł, rocznie — 624 zł.

rodacy na znaczkach

Do najpopularniejszych kobiet utrwalonych na znaczkach wszystkich ucywilizowanych krajów świata, należy Maria Skłodowska-Curie. Jej podobizna znalazła się w jednej z pierwszych „kobiecych" serii, wydanej w 1935 roku z okazji XII Międzynarodowego Kongresu Kobiet w Istambule. Wśród siedmiu znaczków z podobiznami najwybitniejszych kobiet świata poczta turecka umieściła również portret wielkiej polskiej uczonej. W trzy lata później, w roku 1938, znaczek z Marią Skłodowską-Curie i jej mężem, Piotrem Curie, wydała Francja oraz prawie wszystkie jej kolonie.

150 rocznicę urodzin Ignacego Domeyki, naszego znakomitego chemika, mineraloga i górnika, uczciło w roku 1952 — wydaniem dwóch znaczków — Chile. W ciągu bogatego życia naukowego wydał on wiele dzieł poświęconych chemii, mineralogii, geografii i ekonomii, które przyniosły mu sławę międzynarodową. Przybrana ojczyzna, wywdzięczając się za zasługi w dziedzinie kultury i gospodarki, przyznała Domeyce wiele nagród i wyróżnień, a liczne akademie i towarzystwa naukowe całego świata zaliczały go do grona swoich członków.

W setną rocznicę śmierci gen. Józefa Bema (w roku 1950) poczta węgierska wydała serię składającą się z trzech znaczków o jednakowym rysunku. W dwa lata później, w serii poświęconej pamięci bohaterów walk wolnościowych na Węgrzech, znalazła się również głowa generała w owalu, obok wycinka bitwy pod Piskami.

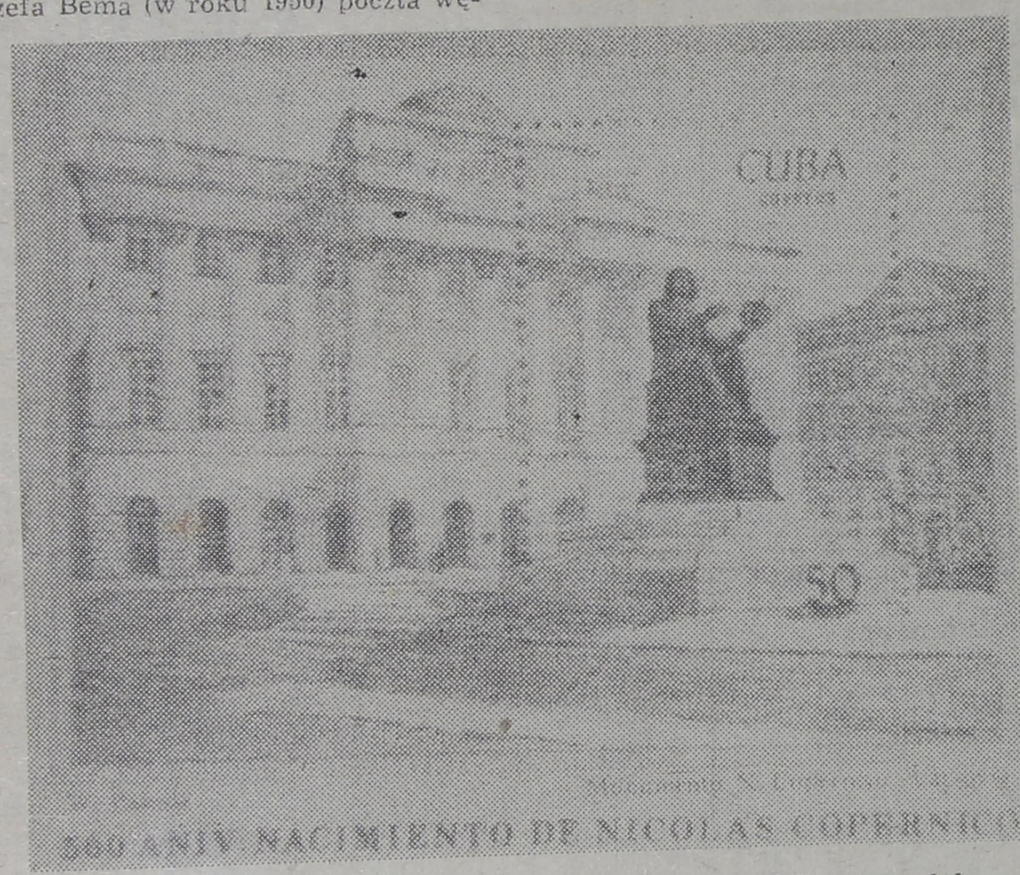

Gen. Józef Bem był wspaniałym organizatorem i zdolnym dowódcą. Pod jego buławą Armia Siedmiogrodzka walczyła o wolność Węgier, gdzie zyskał sympatię ludu oraz przydomek „ojciec Bem". Ostatnie chwile spędził w Turcji; w roku 1850 zmarł tam na febrę. Zwłoki jego sprowadzono do rodzinnego Tarnowa i tu spoczywają w mauzoleum. Znaczki z gen. Bemem, wydane przez pocztę węgierską, są piękną kartą w zbiorach tematycznych „Bojownicy o wolność narodów".

Do tego zbioru należą również znaczki i stemple okolicznościowe wydane przez pocztę Stanów Zjednoczonych, upamiętniające postacie Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego. Tadeusz Kościuszko walczył w latach 1776—82 o niepodległość Stanów Zjednoczonych; w 1777 roku przyczynił się do zwycięstwa pod Saratogą. Natomiast gen. brygady Kazimierz Pułaski organizował kawalerię amerykańską. Odniósł kilka sukcesów, m.in. w 1779 roku w obronie Charlestonu. Poległ w bitwie pod Savannah.

Z dosyć licznej grupy innych wybitnych Polaków, których życie i działalność zostały upamiętnione zagranicznymi znakami pocztowymi (Mikołaj Kopernik, Fryderyk Chopin, Adam Mickiewicz, Aleksander Czekanowski, gen. Władysław Sikorski), należy wymienić Maksymiliana Kolbego i papieża Jana Pawła II. Znaczek z portretem Maksymiliana Kolbego wydała w dniu 25 maja 1973 roku poczta Niemieckiej Republiki Federalnej na wspólny wniosek stowarzyszeń religijnych różnych wyznań. Pierwszego dnia obiegu znaczka stosowano również stempel z jego wizerunkiem, a filatelistyczne czasopismo podało w obszernym opisie życiorys Maksymiliana Kolbego, który jest symbolem bohaterstwa i męczeństwa milionów Polaków zamordowanych przez hitlerowców w obozach śmierci. Maksymilian Kolbe, za swe pełne poświęceń życie i ofiarną śmierć, został w dniu 17 X 1981 r. beatyfikowany przez papieża Pawła VI, a 10 X br. — kanonizowany przez Jana Pawła II.

Nowy, ale bardzo obfitujący rozdział poloników rozpoczął się 16 października 1979 roku z wyborem kardynała Karola Wojtyły na papieża. Pierwszy znaczek z tej okazji wydała 24 I 1979 r. poczta Gabonu (republiki środkowoafrykańskiej) dla uczczenia podróży pasterskiej papieża do Dominikany i Meksyku. W dniu 22 marca 1979 roku wybór papieża upamiętniła serią trzech znaczków poczta watykańska. Wizyta Jana Pawła II w Brazylii i X Narodowy Kongres Eucharystyczny w Fortalezie były okazją do wydania przez pocztę brazylijską serii pięciu znaczków i stosowania w dniach 30 VI—10 VII 1980 roku kasowników okolicznościowych w dziesięciu urzędach pocztowych (Brasilia, Belo Horizonte, Sao Paulo, Porto Alegre, Kurytyba, Salwador, Recife, Belem, Teresina i Manaus).

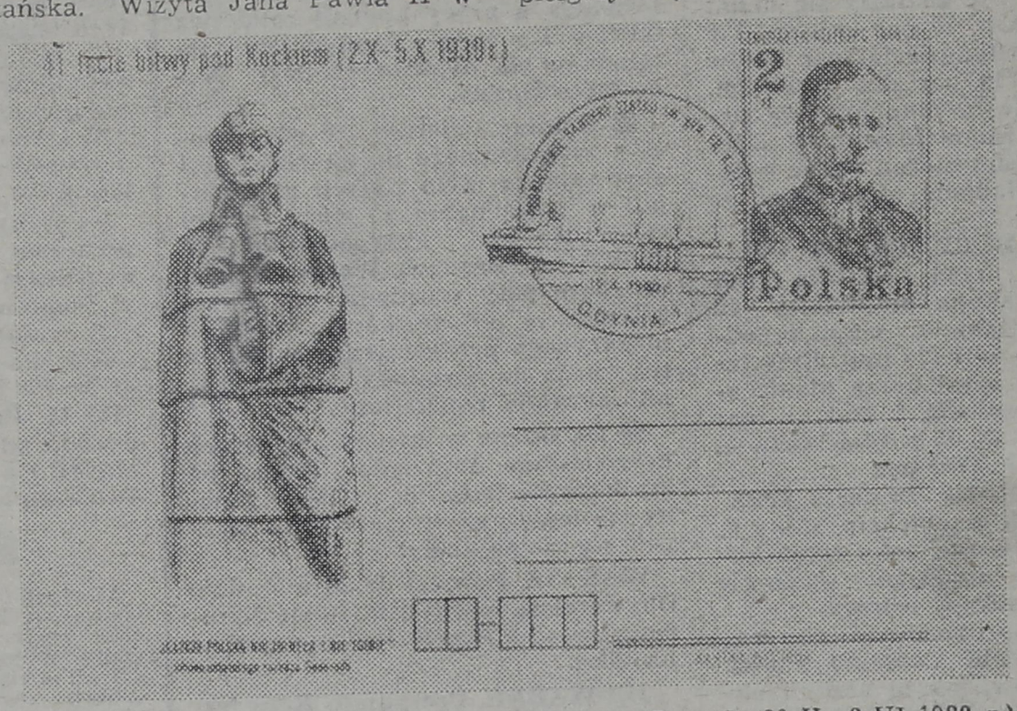

Przybycie Jana Pawła II do Dominikany upamiętniono wydaniem w dniu 25 I 1979 roku znaczka i stempla w pierwszym dniu obiegu (stosowanego w Santo Domingo). Serię czterech znaczków i blok oraz dziewięć kasowników okolicznościowych, stosowanych w dniach 17 II —22 II 1981 r., wydała poczta Filipin z okazji pielgrzymki Jana Pawła II do tego kraju (Manila, Cebu City, Iloilo City, Bacolod City, Davao City, Bataan, Lagaspi City, Baguio City, Manila Air Port).

W dniu 2 VI 1980 roku dwoma kasownikami, stosowanymi w Lisieux i urzędzie pocztowym UNESCO w Paryżu, upamiętniono pobyt papieża we Francji. Gabon, Ghana i Górna Wolta — z okazji wizyty papieża w tych krajach — wydały łącznie siedem znaczków, jeden blok i dwa kasowniki (pierwszego dnia obiegu). Irlandia pobyt papieża w swym kraju uczciła wydaniem jednego znaczka i kasownikami okolicznościowymi, stosowanymi w dniach 29 IX—1 X 1979 r. Serie znaczków i kasowniki upamiętniające wizytę papieża w swych krajach wydały urzędy pocztowe Japonii, Kamerunu, Kenii, Kongo, Republiki Federalnej Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Turcji.

Datownikami okolicznościowymi uczciła poczta Watykanu pielgrzymkę Jana Pawła II do Ojczyzny (2 VI 1979 r.), wizytę w Irlandii (29 IX 1979 r.), Stanach Zjednoczonych (1 X 1979 r.), w Turcji (28 XI 1979 r.), pielgrzymkę do Afryki (2—12 V 1980 r.), Francji (30 V—2 VI 1980 r.), Brazylii (30 V—2 VI 1980 r.), RFN (15—19 XI 1980 r.) i na Daleki Wschód (16—27 II 1980 r.). Z tychże okazji poczta watykańska wydała również — 24 czerwca 1980 roku — serię siedmiu znaczków lotniczych. Na wszystkich widnieje Jan Paweł II z wyciągniętymi ku niemu rękami ludzkimi oraz data i godło symbolizujące miejsce pielgrzymki. Natomiast tylko na jednym znaczku (za 3000 lirów) uwieczniono spotkanie z patriarchą Turcji, Dimitrosem I.

Z okazji wizyty papieża w miastach Belluno, Loretto, Norcia, L'Aquila, Otranto, Velletri, Cassino i Terni poczta włoska wydała — i stosowała w urzędach pocztowych wizytowanych miast — osiem kasowników okolicznościowych. Wybrzeże Kości Słoniowej upamiętniło wizytę papieża 10 maja 1980 r. jednym znaczkiem i kasownikiem okolicznościowym. Poczta Zairu uczciła wizytę Ojca św. w tym kraju serią sześciu znaczków i blokiem oraz kasownikiem, stosowanym pierwszego dnia obiegu. Łącznie (nie wliczając wydawnictw naszego kraju) w 22 państwach wydano ponad 160 znaków pocztowych poświęconych Janowi Pawłowi II.
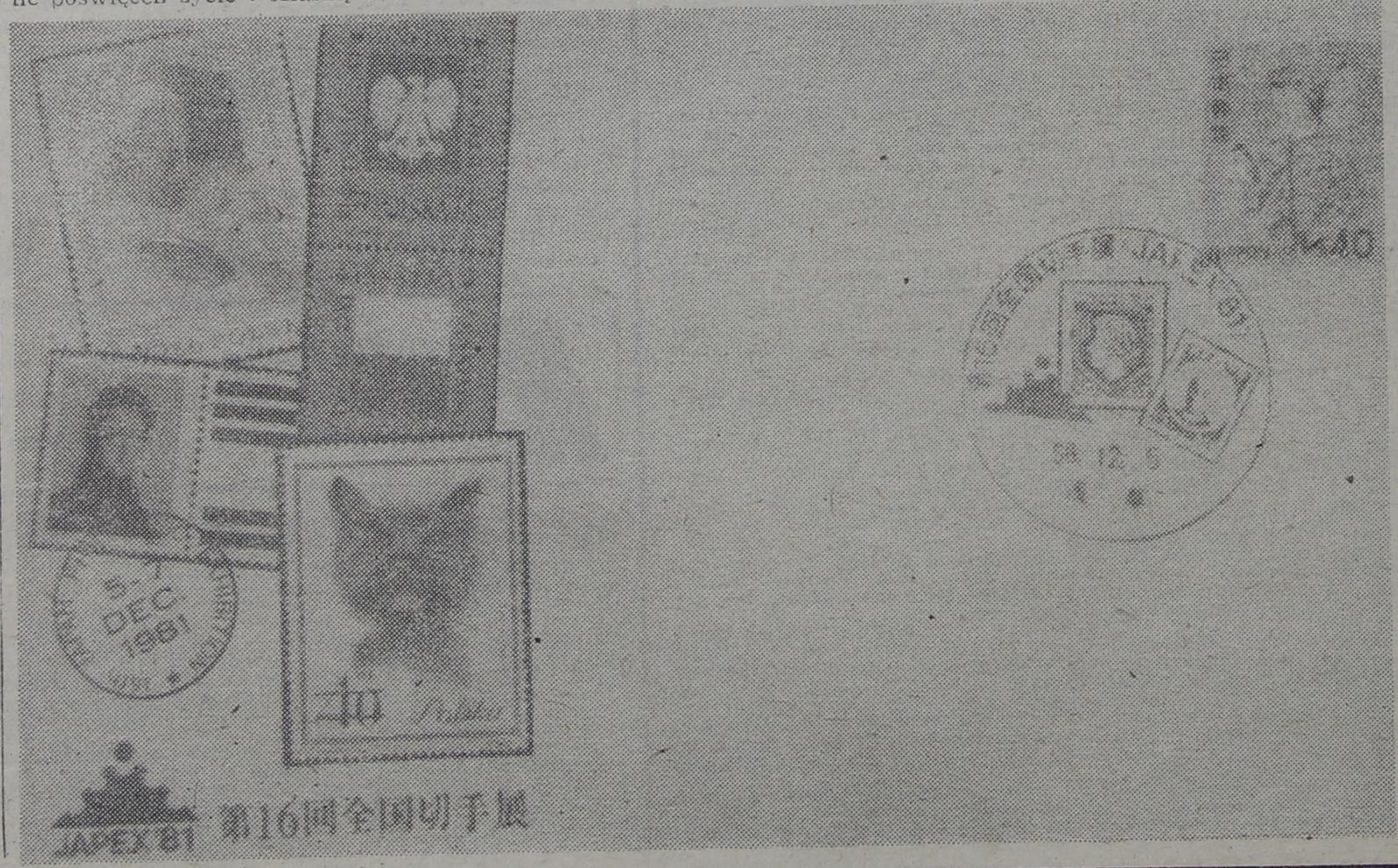
LUCJAN WĘGRZYN
Reprod. GABOR LÖRINCZY